

ZENA VALENTINE

**Cudowne
Boże Narodzenie**

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Hamish Chandler nigdy w życiu nie czuł się bardziej bezradny. I bezużyteczny.

Młoda kobieta leżała na wysokim szpitalnym łóżku z lekko podniesionym wezgłowiem. Jej ciemne włosy były matowe, a opalona skóra odcinała się na tle białej pościeli.

- Ona jest... a raczej była fotoreporterką - poinformowała go pani Billings. - Jeździ konno, dobrze gra w golfa i tenisa. Uprawia również narciarstwo. - Po chwili pani Billings zarumieniła się lekko i dodała: - I z pewnością złamała niejedno męskie serce.

W tym stanie - z siniakami i zadrapaniami pokrywającymi pół twarzy - wątpliwe, by jej się to udało, pomyślał Hamish Chandler. Nie sprawiała jednak wrażenia wychudzonej, prawdopodobnie dlatego, że była bardzo wysportowana. Nawet po trzech tygodniach spędzonych w łóżku szpitalnym wyglądała krzepko.

Spała, a Hamish nie zamierzał jej budzić. Sen był dla niej błogosławieństwem. - - Bardzo pana proszę... - niemal błagała go wczoraj pani Billings z oczami błyszczącymi od łez. - Podejrzewam, że nie jest szczególnie religijna, ale zważywszy na to, że otarła się o śmierć...

Z pewnością nie było w tym zbyt wiele przesady, skoro po trzech tygodniach rekonwalescencji była w takim stanie. Leżała

CUDOWNE BOŻE NARODZENIE

bez ruchu, z dłońmi bezwładnie spoczywającymi na poduszce. Hamish usiadł obok na krześle; był dziwnie wzruszony, owładnięty pragnieniem, by ją pocieszyć i złagodzić ból.

Odwiedziny u chorych w szpitalu należały do jego duszpasterskich obowiązków. Ale wizyta u tej kobiety niewiele miała z tym wspólnego. Przyszedł tu jedynie na prośbę pani Billings.

- Skąd pani ją zna?-zapytał gospodynię.

Przez wiele lat pani Billings była dlań czymś więcej niż gospodynią. Stała przy nim w smutku i żałobie, a teraz pomagała mu wychowywać córki.

Pani Billings powiedziała mu, że B.J. Dolliver, ranna kobieta leżąca na szpitalnym łóżu, była koleżanką ze studiów jej siostrzenicy, Debory.

- Wiem o niej wszystko, choć widziałam ją tylko parę razy, gdy przyjeżdżała z Denle na wakacje. Ale mam wrażenie, że znam ją od dziecka. Zresztą po ukończeniu college'u trudno było ją stracić z oczu - dodała z odrobiną zażenowania.

B.J. Dolliver, jak wynikało ze wzmianek w bulwarowej prasie, w wieku dwudziestu siedmiu lat zdobyła tyle samo nagród fotograficznych co mężczyźni.

- Debora jest pielęgniarką - tłumaczyła pani Billings - ale B.J. nie chce w szpitalu nikogo widzieć. Nawet rodziny. Jej matka, co prawda, nie żyje, ale ojciec mieszka gdzieś na Zachodnim Wybrzeżu. Deb podejrzewa, że córka nawet go nie poinformowała o wypadku. - Gospodyni przymrużyła oczy. - Moja siostrzenica sądzi; że bardzo krępuje ją pokiereszowana twarz... Deb, oczywiście, mogłaby bez uprzedzenia wejść do jej pokoju, ale zna B.J. i wie, że należy respektować jej prywatność.

Następnie pani Billings opisała spotkanie B.J. Dolliver ze

śmiercią, gdy sportowy wóz, którym jechała, spadł ze skały oraz tragiczne w skutkach obrażenia. Zdaniem lekarzy - już nigdy nie będzie samodzielnie chodzić.

- Ona szaleje z wściekłości - mówiła pani Billings. - Deb twierdzi, że pielęgniarki boją się nawet do niej zaglądać.

- Trudno się jej dziwić - skonstatował Hamish i spytał: -Właściwie dlaczego mam ją odwiedzić?

Po dłuższej chwili wahania gospodyni odpowiedziała z głębokim westchnieniem:

- Obawiam się, że... będzie chciała ze sobą skończyć, gdy dowie się, że nie może chodzić. Deb twierdzi, że B. J. Doili ver nie potrafi żyć, nie posługując się całym swym ciałem. - Ostatnie słowa wypowiedziała jednym tchem, jakby w obawie, że nie zdoła dokończyć zdania. - Szczerze mówiąc - dodała po chwili - zawsze trochę jej współczułam... Wydawała mi się taka... samotna. Jej rodzice rozwiedli się, gdy była małym dzieckiem, a matka wkrótce potem zmarła. Została wychowana przez ojca, Patricka Dollivera, właściciela sieci sklepów ze sprzętem sportowym. Przez całe dzieciństwo i młodość próbowała mu udowodnić, że jest tak samo dobra jak jego bohaterscy sportowcy - zadrwiła gospodyni. - A to w gruncie rzeczy niewiele go obchodziło...

Tak więc wielbny Hamish Chandler, pastor kościoła św. Trójcy w Kolstad w Minnesocie, potocznie zwanego kościołem Kolstad, z powrotem skupił uwagę na kobiecie leżącej na łóżku. Zastanawiał się, dlaczego to wyjątkowe zadanie stanęło na jego drodze akurat dzisiaj - w drugą bolesną rocznicę śmierci ukochanej żony.

Siedział przy łóżku w krępującej ciszy, nie mogąc oczu odebrać od oszpeconej twarzy śpiącej kobiety.

- Uszkodzenie kręgosłupa - powiedziała mu pani Billings,

najwyraźniej cytując Deborę. - Miednica połamana na kawałki, nie nadająca się do złożenia, złamany prawy bark, zmiażdżone ramię, rany na twarzy...

Omiotł spojrzeniem te rany - bliznę na policzku, gojące się skaleczenia na brodzie; potem spojrzał na lewą rękę bezwładnie leżącą na pościeli. Z niektórych miejsc zdjęto już szwy, gdzie-niedzie zostawiono małe przecięcia, by samodzielnie się zrosły.

Popatrzył na wenflon i kroplówkę przymocowaną do jej prawego nadgarstka oraz na wyciąg, na którym spoczywała noga. W tej chwili nie mógł jej sobie wyobrazić w charakterze sprawnej, wysportowanej reporterki, przyzwyczajonej do wspinania się i skakania ze sprzętem, by na gorąco zatrzymać w kadrze świat i ludzi.

Skrzyżował dłonie na kolanach w przyływie nagłego smutku. To bujne, aktywne, ruchliwe życie niemal zostało zatrzymane... Niemal. Ale przecież nie do końca. Kobieta żyła i powoli wracała do zdrowia.

W młodości widział, niestety, gorsze stany... O wiele gorsze. Nim skończył piętnaście lat, przywykł do faktu, że ludzie bywają ranni, okaleczeni, a nawet zabijani podczas walki o przetrwanie. Dzięki Bogu, ta ciemna przeszłość była już za nim...

Co właściwie jej powie? Co można było powiedzieć? Czuł się dziwnie bezradny...

Różowy błysk odwrócił jego uwagę od chorej. Do pokoju weszła pielęgniarka w różowym fartuchu przerzuconym przez ramię. Uśmiechnęła się do niego z zawodową uprzejmością, podeszła do łóżka i uniosła bezwładną dłoń chorej, by sprawdzić puls.

Pacjentka otworzyła oczy; malował się w nich strach i zmieszanie. Ciałem jej wstrząsnął skurcz.

- Nie... - Cichy jęk wydobył się z jej ust; przymknęła Oczy

i wykrzywiła twarz z bólu. Ciało jej znów szarpnęło się, jakby usiłowała je wyrwać z objęć niepojętego cierpienia.

Pielęgniarka położyła delikatnie rękę na brzuchu pacjentki i szepnęła jej coś do ucha, gestem nakazując pastorowi, by opuścił pokój.

Zamknął za sobą drzwi, w momencie gdy jęk kobiety prze-rodził się w straszliwe, z głębi trzewi płynące wycie. Na plecach poczuł dreszcz. Oparł się bezradnie o ścianę na korytarzu i czekał, aż dziki krzyk przeszedł z powrotem w ciche westchnienia i jęki.

Chwilę później wypadła z pokoju pielęgniarka.

- Atak! - wymamrotała.

Hamish po cichu wszedł do pokoju i stanął przy łóżku. Twarz kobiety pokryta była kroplami potu, oczy jej błyszczały niespo-kojnie, oddychała ciężko.

- Co mógłbym dla pani zrobić? - spytał.

- Wyjść - powiedziała ochrypłym szeptem. Przymknęła oczy, dając do zrozumienia, że chce zostać sama;

starła się uspokoić oddech. Zauważył, że żyła na jej szyi pulsuje gwałtownie.

Wziął ręcznik wiszący przy łóżku, zmoczył go ciepłą wodą z kranu, wyżał, po czym położył na jej czole. Raczej poczuł niż usłyszał, jak gwałtownie wciągnęła powietrze, gdy mokry materiał dotknął jej skóry. Po chwili, gdy się nieco odprężyła, delikatnie przetarł ręcznikiem jej twarz.

- Jesteś tu nowy...? - spytała tym samym ochrypłym szeptem, z trudem kierując na niego spojrzenie zielonych oczu.

- W pewnym sensie - odparł z uśmiechem.

- Zostaw mi go na twarzy... Dobrze mi z tym...

Po kilku sekundach puls na jej szyi zaczął zwalniać; ostroż

nie podniosła lewą rękę i zdjęła ręcznik z twarzy. Machnęła nim tak nieporadnie, że Hamish musiał chwycić go w locie, by nie spadł na podłogę.

- Gdzie masz fartuch? - zapytała z trudem. Uśmiechnął się lekko i obserwował, jak niezgrabnie usiłuje

chwycić się wiszącego nad jej głową podnośnika.

- Nie jestem lekarzem - powiedział, obniżając trapez tak, by mogła go dosięgnąć.

- W takim razie odejdz! - rozkazała i odwróciła głowę. Po chwili jednak znów przyciągnął jej wzrok; na dnie jej oczu dojrzał mieszaninę obawy i nieufności.

Nie dziwiło go, że nie miała doń zaufania. Przecież leżała tu w bólach od trzech tygodni, ze świadomością, że nigdy już jej życie nie będzie takie jak dawniej... A on był dla niej obcy.

- Nazywam się Hamish Chandler. Ciotka Debory Billings prosiła, bym panią odwiedził - dodał, mocując podnośnik. - Teraz lepiej?

Zmarszczyła brwi, a potem uniosła lewą rękę i chwyciła drążek. Wykrzywiła usta, by się uśmiechnąć, ale wyszedł zaledwie grymas. Była naprawdę dzielna, pomyślał Hamish z podziwem.

- Powinien pan być lekarzem - wyszeptwała.

- Dziękuję, czuję się doceniony. Umocowanie trapezu rzeczywiście wymagało umiejętności.

Nie poznała się na dowcipie.

- Ręcznik... - zaskrzeczała. - Zrób to jeszcze raz. Zmoczył ręcznik ponownie, wycisnął i tym razem położył na jej lewej dłoni. Przesunęła go na twarz, omijając małą, niezagojoną ranę po prawej stronie. Gdy ręcznik wystygł, zrzuciła go.

- Wystarczy? - spytał, wieszając ręcznik na oparciu łóżka.

- Ma pan lusterko? - spytała.
- Chyba nie.
- Niech pan poszuka... W szufladach.
- Ale po co? - spytał bezradnie.
- Do diabła z panem! - Przymknęła na chwilę oczy; gdy znów je otworzyła, płonęły frustracją. - Chcę zobaczyć...

- Co?

- A jak pan myśli?!

- Przebywa tu pani od trzech tygodni i, jak przypuszczam, nie pozwolono pani spojrzeć do lusterka. Nie mogę przeciwstawić się zaleceniom lekarzy, panno Dolliver.

- A kim pan jest, u diabła? - Skrzywiła twarz tym razem ze złości. - Jeśli to Debora pana nasłała, to pewnie po to, by mnie pan pocieszył! - W słowach tych krył się bezmiar pogardy. Sięgnęła znów po wiszącą nad nią poprzeczkę, chwyciła ją i puściła.

- To nie Debora mnie przysłała - odparł spokojnie. - Jej ciotka prosiła, bym spotkał się z panią. - Umilkł, zastanawiając się, czy powinien wyjaśnić, kim jest. Zdecydował się na szczerłość. - Jestem pastorem kościoła w Kolstad.

Wymamrotała jakieś słowa zdziwienia, które nie do końca zrozumiała.

- Czy zamierza pan się za mnie modlić? - zadrwiła.

- Tak.

Znów chwyciła poprzeczkę i ścisnęła tak mocno, że palce jej zbieleły. Po chwili puściła ją i wyciągnęła rękę na pościeli. W jej oczach, które przypominały teraz zimną stal, czaiło się coś jeszcze - coś ledwie uchwytnego... To był strach.

Z trudem przełknęła ślinę i przymrużyła oczy.

- Dlaczego ciotka Debory tu pana przysłała? Jeśli to w ogó

le prawda... - Nie kryła sceptycyzmu, a ton jej głosu był sarkastyczny. - Pamiętam ciotkę Deb... - dodała z pewnym rozczuleniem.

- To moja gospodyni i ogromnie panią lubi. Pamięta panią jako najlepszą przyjaciółkę swej siostrzenicy.

- Deb tutaj pracuje. Może wejść w każdej chwili, kiedy zechce. Ale rzeczywiście jest moją przyjaciółką - dodała znacząco - i właśnie dlatego tego nie robi. Nie życzę sobie żadnych odwiedzin.

Zapadło na moment milczenie; z korytarza dochodziły jednostajne szpitalne odgłosy.

- Wiem - powiedział w końcu Hamish.

Patrzyła na niego ze złością. To dziwne, ale miał wrażenie, że bardzo się o to stara... Wyczuwał w niej jakąś miękkość. Wydawało się, że ledwie może wytrzymać z otwartymi oczami.

- Żadnych wizyt - powiedziała ochryple. - Debora o tym wie.

- One martwią się o panią.

- Do diabła! - zaklęła, zamykając wreszcie oczy. Przemknęło mu przez myśl, że będzie świadkiem kolejnego spazmu. Już chciał się poderwać, by zadzwonić po pielęgniarkę, gdy nagle zdał sobie sprawę, że jest zdenerwowana, ale z całkiem innego powodu. Raz jeszcze stał się obiektem tych niespokojnych oczu w kolorze wyschniętej trawy.

- Dlaczego właśnie pan? - spytała, a gdy zastanawiał się nad podtekstem pytania, podzieliła się własnym, najgorszym wnioskiem: - Co próbują sugerować, przysyłając pastora? Czy mam umrzeć? Po tym wszystkim, co przesłama, nie ma dla mnie ratunku?

- Oczywiście, że nie - powiedział, wstrząśnięty gorycasą tej

wypowiedzi - Wraca pani do zdrowia - Jak to się stało, że ich rozmowa zesłała na tak śliski temat - Myślę, że rozmawiała pani z lekarzem na temat swego stanu

- Och on powiedział, że ja Chciał dać mi do zrozumienia, że będę kaleką

Hamish ledwie dosłyszał ostatnie słowo Wyczuwając jej przerażenie, pochylił się do przodu i ujął jej lewą dłoń, była mała, miękka i wilgotna

- Nie znam oficjalnej diagnozy - powiedział bardzo delikatnie Zobaczył, jak duża łza wypływa spod długich, ciemnych rzęs dziewczyny i toczy się po jej policzku - Proszę nie przypisywać rrrlej wizycie niczego nadzwyczajnego

- Dlaczego więc pan przyszedł

Pogłaskał drobną dłoń swą dużą ciepłą ręką, przyglądając się zagojonym już ranom Nie wyrwała ręki, co bardzo go ucieszyło, czyżby on sam potrzebował pocieszenia

- Nie wiem, moja droga - powiedział z wahaniem - Jeszcze nie wiem

Wyraźnie zaintrygowana, otworzyła przymknięte powieki Patrzyła na jego twarz, a usta jej drżały, jakby chciała coś powiedzieć

- Wiem, że to brzmi naiwnie - odezwał się znów - Ale naprawdę nie wiem, dlaczego przyszedłem Być może poruszyło mnie współczucie, jakie żywi dla pani moja gospodyni

- Poruszyło - zakpiła - Oczywiście, „poruszyło” Pozwoliła, by trzymał jej rękę, co trochę złagodziło sarkazm tych słów Miał wrażenie, że usta jej powiedziały coś, z czym nie zgadzała się reszta jej ciała

Hamish rozumiał gorycz i sarkazm Co prawda, minęło już wiele lat, ale pamiętał jeszcze, jak sam witał każdego nieznajo

mego z pogardą i nieufnością, gotów walczyć o przetrwanie przeciw każdej - prawdziwej czy też wymaginowanej - groźbie. Takie było życie na ulicy. Każdy myślał o sobie i nie ufał nikomu. Nigdy. Pod wpływem tych wspomnień, głęboko wciągnął powietrze i uśmiechnął się ponuro.

- Czy jest pan tu po to, by przekonać mnie, że nie mam, szans na wyzdrowienie? - spytała ochryplym głosem.

- Nie słyszałem żadnych prognoz na temat stanu pani zdrowia - powtórzył.

- Jasne! - Sięgnęła znów ręką do wiszącej nad jej głową poprzeczki.

Sposób, w jaki bawiła się poprzeczką, chwytając ją i puszczając, rozpraszał uwagę Hamisha. Ale z drugiej strony to było jedyne ćwiczenie, jakie mogła wykonywać. Poruszała przecież tylko lewym ramieniem i dłonią.

Nagle pobladła i wyszeptwała:

- O Boże! - Głęboko i wolno wciągnęła powietrze.

Pielęgniarka w różowym uniformie wślizgnęła się niepostrzeżenie do pokoju i zrobiła B.J. zastrzyk w lewe ramię.

- No, już dobrze - powiedziała, opuszczając podwinięty rękaw koszuli. - Zaraz przejdzie. - Spojrzała na Hamisha i znów się uśmiechnęła. - Pan jest krewnym?

Dobre pytanie, pomyślał, zastanawiając się nad odpowiedzią. „Jestem przyjacielem” - zabrzmiałoby fałszywie, a „znajomym” - sztucznie.

- Jestem pastorem - powiedział po prostu.

B.J. nie skomentowała. Zdawało się, że ledwie zdaje sobie sprawę z jego obecności, ponieważ nadal oddychała nierówno. Nieoczekiwanie chwyciła jego prawą dłoń i przycisnęła do piersi. Wyczuł jej szybko walące serce i pomimo niedawno ołrzy

manego leku, wyraźnie naprężone ciało. Ten uścisk był zdumiewająco silny, ale nic dziwnego - była przecież zrozpaczona, w stanie najwyższego napięcia. I stresu.

Odczekał chwil kilka, aż lekarstwo zadziałało. Przyglądał się delikatnemu zarysowi jej upartego podbródka i czuł ucisk w piersi.

Wreszcie otworzyła oczy.

- Oni się myślą - wyszeptała w końcu. - Zamierzam tego dokonać. Mam zamiar chodzić. Mam też zamiar biegać. Pokażę im, że się myślą...

Miała naprawdę waleczne serce, a Hamish dziękował Bogu, że nie chciała się poddać. Być może jej się uda. Być może wystrychnie na dudka lekarzy. Życzył jej tego z całego serca.

Wyczuwał jej frustrację i gniew. I jej bojowość.

Wyczuwał również miękkość jej piersi pod swą dłoń. Wiedział, że przyciskała jego rękę bezwiednie, jakby podświadomie szukała źródła, z którego mogłaby czerpać siły do walki i pocieszenie.

Minęło wiele czasu, odkąd po raz ostatni czuł miękkość kobiecego ciała i w ułamku sekundy zdał sobie sprawę, że mu tego brakuje...

W ostatnich miesiącach przyjaciele z kościelnej kongregacji dawali mu do zrozumienia, że powinien pomyśleć o powtórnym małżeństwie.

Ożeni się tylko z miłości... O tym był przekonany. Mimo wszystko przerażała go myśl o wysiłkach związanych z umawianiem się na randki i temu podobne. I nadal nie potrafił wyobrazić sobie małżeństwa z kimkolwiek innym prócz Maralynn. A przecież jego ukochana żona nie żyła już od dwóch lat i córki niemal jej nie pamiętały.

Nagle B.J. puściła jego rękę i znów sięgnęła po wiszącą poprzeczkę.

- Może pan już iść - powiedziała stłumionym głosem, patrząc w sufit. - Wykonał pan swoje zadanie.

- Tak pani uważa? - spytał łagodnie. Przyglądała mu się spod zmrużonych powiek.

- Zdecydowanie.

Ale nie mógł wyjść. Nie potrafił wyjaśnić tego dziwnego przymusu, który nakazywał mu tu pozostać.

- Zostanę jeszcze chwilę - odezwał się.

- Ale ja tego nie chcę!

Wiem.

Nie tylko nie miał ochoty wyjść, ale wręcz było mu przyjemnie siedzieć obok tej nieprzyjaźnie doń nastawionej kobiety.

- Zadzwoń i każę pana wyprowadzić - ostrzegła, ale tego nie zrobiła. Po chwili powiedziała: - Nie znam pana. - Minę miała pośpenną, a powieki ciężkie ze zmęczenia.

- Ale to się powoli zmienia, prawda? Mimo że stara się pani być nieuprzejma - dodał żartem.

- Niegrzeczną, pastora - poprawiła go. - To jest właściwe słowo. Ale, jak widzę, na pana to nie działa.

- Tego bym nie powiedział - odrzekł z uśmiechem. - Jeśli chce pani mnie przekonać, że życie źle się z panią obszło, bardzo proszę. Jeśli chce pani, bym modlił się za pani powrót do zdrowia, doskonale pani wie, że będę to robił. A jeśli pani chce mieć pewność, że rozumiem pani gorczy, to również się pani o tym przekona.

Potrząsnęła lekko głową i niemal odwzajemniła jego uścisk.

- Uważa się pan za świętego?

- Nie uważam się za świętego i nie pamiętam, by to był

warunek w mojej umowie o pracę - powiedział. - Jestem po prostu człowiekiem, który pracuje jako pastor.

- A gdzie pańska koloratka?

- W naszym kościele pastor musi ją nosić tylko podczas mszy - wyjaśnił. - Wszyscy wiedzą, kim jestem, wiedzą, że im służę i że mogą mnie zwolnić. Są zresztą tacy, którzy uważają, że powinien mnie zastąpić ktoś inny.

Zapadła cisza. Potem B.J. spytała:

- Dlaczego?

- Zatrudnienie mojej osoby nie przyniosło kongregacji oczekiwanego zysku - rzekł swobodnym tonem.

- Jak mam to rozumieć? - Była wyraźnie zainteresowana. To dobrze, pomyślał Hamish. Choć przez chwilę oderwie się od myślenia o sobie.

- Zatrudniono mnie razem z żoną. Dwie osoby za cenę jednej, można rzec. Potem urodziły nam się dwie córki, Emma i Annie. Maralynn nie mogła już poświęcać tyle czasu sprawom kościelnym co przedtem. Wkrótce potem poważnie zachorowała na serce. Musieliśmy zatrudnić gospodynię, co pociągnęło dodatkowe koszty. Dwa lata temu Maralynn zmarła. Pozostałem sam na służbie kongregacji. - Uśmiechnął się na widok jej sceptycznej miny. - Na szczęście, większość członków naszego kościoła akceptuje zaistniałą sytuację, tak więc, jak pani widzi, nie ma bezpośredniego niebezpieczeństwa, aby mnie zwolniono.

- Przykro mi z powodu pańskiej żony - powiedziała półgłosem. - Ale co do reszty, żartuje pan ze mnie.

Roześmiał się wesoło, zadowolony z jej bezpośredniości.

- Zatrudnianie pastora to także interes - podsumował. - Zatrudnili mnie na korzystnych dla siebie warunkach, a one ko

rzystne być przestały. To normalne, że zwracają uwagę na to, co dostają. Byłoby dla nich lepiej, gdyby zatrudnili małżeństwo.

- Czy trudno znaleźć inne miejsce pracy?

- Nie wiem. To moja pierwsza posada i jestem tu od sześciu lat. Nie mam pojęcia, jak wygląda sytuacja gdzie indziej.

- I nie starał się pan dowiedzieć? Powinien pan myśleć o przyszłości. - Szept jej był coraz cichszy.

- Jak będzie trzeba, rozejrzę się - odparł, wzruszając lekko ramionami. Tym gestem wcale nie chciał pomniejszyć wagi tragicznej śmierci Maralynn ani problemów, jakie przysparzała utrata pracy. Te sprawy miały przecież ogromny wpływ na życie jego rodziny. Niemniej jednak nauczył się już żyć bez żony i wiedział, że większość członków kościoła go ceni. Czyż nie zgodzili się, by wziął sobie asystenta, gdy urodziła się Annie? A potem postanowili nadal zatrudniać Medforda Bantza. Tak czy owak, mógł sobie pozwolić na lekkie wzruszenie ramion, choć, o dziwo, niepokój tej nieznanym kobiecie poruszył go.

- Ma pan jeszcze jedną możliwość... - podjęła. - Ożenić się ponownie.

- Ożenić się? To śmieszne... owszem, myślałem o tym...

- Nie powinno to panu przysporzyć specjalnych kłopotów. Proszę powtórzyć, jak pan się nazywa?

Hamish musiał sobie przypomnieć, że pokora jest cnotą.

- Hamish Chandler - odpowiedział.

- To nie jest odpowiednie imię dla pastora. Fajny z ciebie facet, Hamish. Jesteś pierwszym fajnym duchownym, jakiego poznałam - dodała, a w jej oczach malowało się już wyraźne zmęczenie. - Ale nie wracaj tu, zgoda? Nie chcę żadnych wizyt... - Szept jej był już ledwie słyszalny. - I nie znoszę modlitw...

Nim zdał sobie sprawę z tego, co robi, zamknął jej drobną rękę w swej mocnej, dużej dłoni.

- Zobaczmy - powiedział. - Może nie będę umiał trzymać się z dala? Zawsze się cieszę, gdy miło spędzę czas.

Zostawił wizytówkę z domowym numerem telefonu. Dopiero po wyjściu z jej pokoju, zastanowił się nad tym gestem. Na pewno ją wyrzuci...

Ledwie wysiadł z samochodu, podbiegły do niego dwie dziewczynki i rzuciły mu się na szyję. Sześciolatka Emma zrobiła to pierwsza, ponieważ miała dłuższe nogi; trzyletnia Annie była tuż za nią.

- Złapałyśmy żabę - oświadczyła Emma, odrywając się od niego i ukazując szczupłą, delikatną twarzyczkę pokrytą teraz ciemnymi smugami; jej ciemnobrązowe oczy były szeroko otwarte z podniecenia.

Wybuchnął śmiechem, przypominając sobie, jak przez całe lato próbowała zebrać się na odwagę, by wziąć żabę do ręki i włożyć ją do puszki po kawie.

- Spadłam z huśtawki - zakomunikowała Annie. Proste, jasne włosy okalały pyzatą buzię z dołeczkami, a niebieskie oczy patrzyły poważnie, a jednocześnie nieśmiało. Już było widać, że kiedyś będzie piękną.

- Bardzo bolało? - zapytał czułym tonem. Z

powagą skinęła głową, a potem spytała:

- Gdzie byłeś?

- Odwiedziłem w szpitalu pewną panią.

- Czy ona umrze? - spytała Emma.

- 'Nie. Ale jest poważnie ranna, być może nie będzie mogła chodzić.

Emma szeroko otworzyła oczy.

- To znaczy, że zawsze będzie leżeć w łóżku?

- Nie - odparł z uśmiechem. - Będzie jeździć w wózku na kółkach. A być może będzie mogła poruszać się o kulach. Wiecie, co to są kule?

- Jimmy Crowton ma kule - wyjaśniła Emma. - Jest w drugiej klasie.

Wziął obie dziewczynki na ręce, każdą na jedno ramię - i tak poszli w stronę domu. Postawił je dopiero na podłodze dużej drewnianej werandy, po czym otworzył drzwi do kuchni. Pani Billings gotowała obiad.

Lubił zapach pieczonego mięsa i lekki zapach gazu ze starej kuchenki. Nie zauważał zużytej winylowej wykładziny na podłodze, wyszczerbionej porcelany ani rdzawych plam na dnie zlewu.

W kuchni panował nieskazitelny porządek. To był jego dom. Miał szczęście, że go posiadał. I była tu pani Billings, która od śmierci swego męża, który umarł cztery lata temu, stała się członkiem jego rodziny.

- Jak poszło? - spytała.

Uniósł brwi z lekkim zniecierpliwieniem, zastanawiając się, co właściwie pani Billings wie o porywczym, walecznym charakterze B.J. Dolliver.

- Nie zostałem mile powitany - odrzekł.

Gospodyni ściągnęła wojowniczo usta i złożyła ręce na swym obfitym brzuchu.

- Myśli pan, że ona wyzdrowieje? - spytała.

- Być może - odpowiedział, myjąc ręce nad zlewem. - Ale chyba nie będzie chodzić.

- Nigdy? - Pani Billings pobladła i upuściła łyżkę na podłogę.

- Nigdy. - Podniósł łyżkę.

- O mój Boże! - W oczach gospodyni pokazały się łzy. Wytarła je ręką fartucha i bezwładnie opadła na krzesło.

Obserwował ją w milczeniu, zaskoczony jej głębokim żalem nad osobą, której nie znała przecież zbyt dobrze.

- To taka uroczą młoda kobieta - wyjaśniła, jakby czytając w jego myślach. - I jaka miła... Zawsze ją podziwiałam. Co za tragedia... Co za tragedia!

- To prawda - wymamrotał i położył rękę na jej ramieniu. Ale sam się dziwił, że ją pociesza, ponieważ B.J. Dolliver była twarda jak kamień i zła jak tygrys zapędzony w kozi róg. Nie wyglądała na bezbronną ofiarę, która potrzebuje współczucia

Pani Billings szybkim ruchem otarła pomarszczone policzki.

- Wydaje mi się, jakbyśmy rozmawiali o dwóch różnych osobach - powiedział w zadumie.

- Wiem, że ona potrafi być bardzo twarda, a nawet nieprzejednana - powiedziała ostro, ale dodała cieplejszym tonem: -W końcu miała bardzo trudne dzieciństwo... bez matki. A ojciec pragnął syna i nie poświęcał jej większej uwagi. - Gospodyni znów otarła oczy. - Była naprawdę bardzo dzielna, dobrze pamiętam... I zawsze chciałam, żeby moja siostrzenica była do niej podobna. Rozumie pan, pastarze, chodziło mi o to, żeby potrafiła zadbać o siebie i się obronić. *Dla wielu młodych kobiet* B.J. Dolliver to wzór bohaterki, mimo że wzrastała w przekonaniu, że jest niechcianym dzieckiem. Nie wiem, co ona teraz ze sobą zrobi... Co za okropna tragedia!

- Dlaczego pani płacze, pani Billings? - spytała Emma z wyrazem głębokiego niepokoju w oczach.

- To z powodu tej pani, którą dziś odwiedziłem - wyjaśnił Hamish. - Pani Billings ją zna i dlatego jest smutna.

- Ale tata mówi, że ona wyzdrowieje - powiedziała tonem pocieszenia Emma, poklepując starszą kobietę po kolanie. - Do stanie kule i będzie mogła się na nich poruszać.

- Kaleka na całe życie - powiedziała pani Billings, wycierając nos. - Taka wspaniała, pełna życia dziewczyna!

Emma spojrzała pytająco na ojca, ale nie dostała odpowiedzi. Wcale nie uważał leżącej w łóżku młodej kobiety za heroinę... A już na pewno nie była wzorem. Właściwie dopiero gdy gospodyni poprosiła go, by ją odwiedził i trochę o niej opowiedział, przypomniał sobie jak przez mgłę, że już o niej słyszał. Wiedział, że była znana pod inicjałami swych imion i że miała wielu wielbicieli.

- Ona nie umrze, tato, prawda? - dopytywała się Emma, wyraźnie poruszona rozpaczą pani Billings.

- Być może nie będzie miała ochoty dłużej żyć - gospodyni ubiegła pastora w odpowiedzi.

- Ale dlaczego? - Emma patrzyła niespokojnie na ojca, ten zaś delikatnie położył dłoń na jej głowie i przykucnął.

- Ta kobieta, pani Dolliver - starał się wyjaśnić, choć nie przychodziło mu to łatwo - była bardzo aktywną osobą; podróżowała po całym świecie, robiąc zdjęcia, które później publikowano w gazetach i magazynach. A teraz, widzisz, nie będzie mogła tego robić, ponieważ będzie chodzić o kulach... Pani Billings chciała powiedzieć, że to bardzo smutne dla BJ. Dolliver...

- Ale są inne rzeczy, które będzie mogła robić, prawda? - spytała dziewczynka. - Przecież nadal widzi i słyszy, i może czytać... I oglądać telewizję i poruszać się o kulach... I może huśtać się na huśtawce i zjeżdżać ze zjeżdżalni, jeśli będzie chciała, prawda?

- Oczywiście, wszystko to mogłaby zrobić, ale być może to jej nie interesuje.

- Ale jeśli by spróbowała i by się jej spodobało... może byłaby szczęśliwa?

Czułym gestem potargał włosy córeczki.

- Mądra z ciebie dziewczynka, Emmy, i jestem z ciebie bardzo dumny. Być może pewnego dnia poznasz B.J. Dolliver i będziesz mogła jej powiedzieć, że warto żyć.

Oh, zabrzmiało to bardzo pompatycznie, a przecież wcale nie uważał, by to stwierdzenie pasowało do realnej sytuacji. B.J. Dolliver wcale nie myślała o umieraniu. Chciała zmierzyć się z losem, rzucić wyzwanie opatrności. Była zdeterminowana, by stoczyć bitwę z własną słabością fizyczną, a w dodatku -zrobić to na przekór lekarzom.

Z pewnością nie ułatwiała życia pracownikom szpitala. Zamknęła się w sobie, trzymając wszystkich na dystans.

Ciekawe, co B.J. Dolliver zrobi, gdy odkryje, że lekarze mieli rację i że nigdy nie będzie chodzić bez kul, nie mówiąc już o bieganiu czy trzymaniu rakiety tenisowej. Zastanawiał się, jak to przyjmie, co będzie czuła oprócz ogarniającej ją świadomości porażki i przeświadczenia o beznadziejnej przyszłości.

Sama. Była z tym wszystkim sama.

Gdy zasiadał do obiadu, nieznajoma kobieta niepodzielnie królowała w jego myślach. Po chwili odkrył ze zdumieniem, że chciałby przy niej być w chwili zwątpienia i załamania... Chciałby z nią być, by służyć jej pomocą, podtrzymać ją na duchu i zaszcześcić w niej przekonanie, że naprawdę warto żyć.

ROZDZIAŁ DRUGI

Telefon obudził go w środku nocy. Hamish, na pół śpiąc, podniósł słuchawkę. Nocne telefony nie były niczym niezwykłym w jego pracy.

- Cześć, Hamish - usłyszał znajomy głos.
- Jest trzecia w nocy - jęknął, zerkając na zegarek. - Skąd wzięłaś mój numer? - Wprawdzie niejasno pamiętał, że dał jej wizytówkę, ale był przekonany, że ją wyrzuciła.
- Znalazłam w alfabetycznym indeksie firm pod „sprawiedliwi” - zakpiła.
- Co się stało, B.J.?
- Wyprowadzam się stąd - odparła.
- To wspaniale. Twój stan zdrowia musiał się znacznie poprawić, skoro cię wypuszczają. Jak ramię...?

Od prawie czterech tygodni, co kilka dni, odwiedzał B.J. Dolliver w szpitalu. Choć odnosił wrażenie, że nie przyjęła ofiarowanej przezeń przyjaźni, nigdy nie spełniła swej groźby i nie wezwała personelu.

- Z ramieniem jest coraz lepiej - odparła.
 - Dokąd się przenosisz?
 - Coś muszę znaleźć... - W jej głosie słychać było wahanie.
- Hamish obudził się na dobre.
- Nie podjęłaś jeszcze decyzji? - spytał, usiłując skupić myśli.
 - Myślałam, że może wpadniesz i mi pomożesz.

- Kiedy?
- Najlepiej zaraz.
- Nie żartuj, B.J. Jest środek nocy. O co chodzi?
- Och, nie ma problemu, nie ma żadnego problemu! - niemal krzyknęła. - Wszystko już postanowione! Lekarze spisali mnie na straty. Dali mi listę tych cudownych miejsc, z których mogę wybrać jedno, gdzie spędzę resztę życia. W jednym z ośrodków jest nawet basen!

- Nic nie rozumiem - powiedział niewyraźnie.
- Niepotrzebnie do ciebie dzwoniłam. Do widzenia.
- Zaczekaj! - Złął się, że odłoży słuchawkę. Nie mógł do tego dopuścić. Zmusił umysł do pracy; odrzucił kołdrę i usiadł na łóżku. - Daj mi czas... Jazda zabierze mi z pół godziny.

- Naprawdę, nie trzeba... - powiedziała, ale głos jej nagle zmiękł. - Zapomnij, że w ogóle zadzwoniłam. Lepiej idź spać.

- Przyjadę.
- Nie, nie o to mi chodziło. Naprawdę. Byłam tylko... Och, nigdy ci nie wybaczę, jeśli przyjedziesz tu w środku nocy. To naprawdę zenujące. Poza tym dostałam tabletkę nasenną...

- Nie dzwoniłabyś, gdyby wszystko było w porządku - nalegał; stanął na zimnej, drewnianej podłodze, wyprostował ramiona i się przeciągnął.

- Znasz mnie przecież - upierała się. - Nic mi nie jest. Idź spać, ja też zaraz zasnę. Naprawdę robię się senna... Nigdy ci nie wybaczę, jeśli teraz przyjedziesz... - Odłożyła słuchawkę.

Usiadł na brzegu łóżka, czując na stopach powiew chłodnego powietrza. Był już całkiem rozbudzony i zastanawiał się, jak powinien postąpić. Musiała być zdesperowana, skoro do niego zadzwoniła. Nigdy dotąd to się nie zdarzyło.

Ubrał się pospiesznie i wczesnym świtem wyslizgnął się

z domu. W drodze do szpitala myślał o B.J. - o jej przewrotnej dumie, która sprawiła, że w rozpaczycy wyciągnęła doń jedną rękę, a drugą go odpychała. Myślał o jej przeżyciach z dzieciństwa, o śmierci matki i o ojcu, który nie okazywał jej uczuć. Przypomnił sobie strach i nieufność, jakie widział w jej oczach. Życie nauczyło ją nieufności do świata... Doskonale rozumiał, że otuliła się szczerlnie swą dumą przed ludźmi, by nie sprawili jej bólu.

Miał teraz dziwne, denerwujące przecucie, że wydarzy się coś złego. Potrzebowała go. Musiała go bardzo potrzebować, jeśli do niego zadzwoniła.

Pospiesznie idąc do jej pokoju, modlił się, by zachować spokój i zdrowy rozsądek. Otworzył drzwi. B.J. siedziała na brzegu łóżka, a stopy jej luźno zwisały nad podłogą. Jakże pięknie wyglądała z włosami zmierzwionymi od snu... Blizny na jej policzku zdążyły już zblednąć i przybrać kolor jasnorożowy.

Miała na sobie jedną z tych brzydkich, szpitalnych koszul Opadających na jedno ramię i odsłaniających pół uda.

- Przyjechałeś? - Popatrzyła na niego zamglonymi zielonymi oczami, po czym je zamknęła.

Dopiero teraz nabrał pewności, że naprawdę miała kłopoty. Chciał jej dotknąć... Jakże chciał jej dotknąć.

- Popatrz - powiedziała, pokazując stos bezładnie rozrzuconych na łóżku kolorowych prospektów.

Wziął do ręki kilka z nich. Przedstawiały nowoczesne budynki albo wiktoriańskie posiadłości ze sterylnie urządzonymi sypialniami, a wewnątrz i na zewnątrz nich widać było mnóstwo ludzi, przeważnie siwowłosych i pomarszczonych, z przeraźliwie pustym wyrazem oczu. Wszyscy jeździli na wózkach inwalidzkich...

Oderwał wzrok od lśniących i kolorowych prospektów i popatrzył na B.J.

- Domy opieki - potwierdziła rozgoryczona z załzawionymi oczami. - Muszę wybrać jeden z nich.

- Och, mój Boże... - jęknął, rzucając z powrotem prospekty na łóżko.

Pod wpływem impulsu usiadł obok i przycisnął ją do piersi. Objęła go chorą ręką za szyję i wtuliła w nią twarz. Bezwiednie poprawił jej koszulę na plecach i trzymał ją tak w ramionach. Wydawała się krucha i miękka. Bezradna i ciepła.

- Czy sprawiam ci ból? - wyszeptał w jej potargane włosy. Gdy zaprzeczyła ruchem głowy, poczuł na szyi coś mokrego.

- Nie mogą cię nigdzie odesłać - szepnęła. - Wyzdrowiejesz... Nie pozwolę im na to.

Tak się zatracił w pocieszaniu, że nie czuł upływu czasu. Dopiero gdy zaczęły go boleć ramiona, odsunął się i delikatnie położył ją na łóżku.

Usta miała lekko rozchylone, jakby zapraszała do pocałunku. Ostatkiem woli opanował się, wstał, podszedł do szafy i wyjął stamtąd szlafrok. Potem pomógł jej go włożyć.

- Mam pieniądze - powiedziała wolno powstrzymując łzy.

- Ale nie mam dokąd pójść... Sama nie mogę się sobą zająć...

- A twój ojciec? Krewni? Przyjaciele?

- Nie, nie. Nie mogę... Zresztą, nikt mnie nie chce.

- Wymyślimy coś, moja droga - powiedział, siadając obok niej. - Coś wymyślimy.

- W pobliżu znajduje się ośrodek dla rekonwalescentów, ale tam są sami starzy ludzie. A ja jestem młoda, do diabła! Och, nigdy nie potrzebowałam, żeby się mną zajmowano. Nigdy.

- Znajdziemy coś innego - zapewnił.

- Wypisują mnie stąd... ponieważ od dłuższego czasu me zrobiłam żadnego postępu - podjęła. - Uważają, że już nie będzie lepiej. Ale myślą się! - dodała zawzięcie. - Zamierzam czuć się o wiele, wiele lepiej!

- Wierzę ci.

- Jesteś jedyną osobą, która w to wierzy.

- Zatelefonowałaś do mnie... - westchnął. - Nie sądziłem, że masz mój numer.

Lewą ręką podtrzymała bezwładną prawą. Tam miała napisany długopisem jego numer telefonu, zamazany trochę, ale czytelny.

- Jest tu od tygodni - wyjaśniła. - Codziennie, po umyciu się, zapisywałam go ponownie, tak, bym zawsze wiedziała, że tu jest.

Coś ścisnęło go za gardło, gdy popatrzył na jej dłoń i pomyślał, że codziennie poprawiała jego numer, ale zadzwoniła dopiero wtedy, gdy była w rozpacz. Uniósł głowę i popatrzył w jej lśniące oczy. Zrozumiał, że coś w niej pękło, coś się załamało... Dotąd uparcie odrzucała jego ofertę pomocy, ale teraz był wyraźnie jej ostatnią deską ratunku.

Stanął mu w pamięci dzień, w którym zmarła Maralynn. Przez całą noc siedział obok jej łóżka. I wtedy zrozumiał, że jest coś ponurego i rozpaczliwego w nocnej atmosferze szpitala. Zrozumiał, że jeśli sienie zaśnie, nim ciemność ogarnie szpital, nie można zasnąć w ogóle.

Mógł sobie wyobrazić przez co przeszła B.J. Dolliver. Z pewnością długo się męczyła, nim zadzwoniła do niego: Za-dzwoniła, gdy dopadł ją prawdziwy strach.

- Nie mogę tu zostać - powiedziała. - Spodziewają się, że lada dzień podejmę decyzję. Uważają, że nie powinnam już tu zajmować miejsca...

- Dlaczego tak długo zwlekałaś z telefonem do mnie?
Obserwował, jak unosi podbródek, usiłując przywołać resztki wojowniczości.
- Przysięgłam sobie, że w ogóle do ciebie nie zadzwonię.
 - Twoja destrukcyjna duma postawiła cię pod ścianą - westchnął ciężko. - Spodziewasz się, że uda mi się coś załatwić w jeden dzień?
 - Wierzysz przecież w cuda - odezwała się drżącym, przepelnionym łzami głosem. - Wiem, że tak. Nie znam nikogo, kto wierzy w cuda.
- Wsunął ręce do kieszeni i podszedł do okna. Było tylko jedno miejsce, gdzie chciał ją zabrać... A jednocześnie było to ostatnie miejsce, w którym powinna się znaleźć. Z pewnością to nie spodoba się kongregacji, a jemu też się niezbyt podobało. Był pewien, że pani Billings, choć na początku będzie uszczęśliwiona, w krótkim czasie rozczaruje się do B.J. z uwagi na jej trudny charakter.
- Och, ten pomysł balansował na granicy szaleństwa. Przecież nie był za nią odpowiedzialny. Przeciwnie, B J. stanowiła niebezpieczeństwo dla jego uporządkowanego, spokojnego życia. Jak w ogóle mógł pomyśleć o zabraniu jej ze sobą do domu?! Zwłaszcza teraz, gdy odkrył, że go pociąga...
- Ale z drugiej strony - ona naprawdę nie miała dokąd pójść. Była przerażona perspektywą domu opieki - tak przerażona, że w końcu odrzuciła dumę i do niego zadzwoniła. Najbardziej jednak bał się, że poczucie klęski i bezradności skłoni ją do wyboru łatwiejszego wyjścia. Przypomniawszy sobie z lękiem, jak pani Billings opowiadała o obawach Debory.
- Co zrobisz, jeśli nie będę w stanie znaleźć ci odpowiedniego miejsca? - spytał tonem obawy.

- Powiedziałeś przecież, że znajdziesz - upierała się, ale w jej głosie słyhać było nutę apatii.

- Ale jeśli nie będę mógł? Co wtedy? - Stał odwrócony do niej plecami i wsłuchiwał się uważnie w każdy odcień jej głosu, rejestrował każdą pauzę.

- Wtedy stąd nie odejdę... - powiedziała ledwie słyszalnym szeptem.

- A jeśli powiem już teraz, że nie mogę ci pomóc? - naciskał. - Co zrobisz?

- Pomacham ci na pożegnanie - odparła.

Ale mimo że starała się być nonszalancka, w tonie jej głosu rozpoznał żelazną determinację, i zaczął się zastanawiać, czy w ogóle ma inne wyjście. Czyżby nim manipulowała? Czy B.J. skończy ze sobą, jeśli teraz ją zostawi?

Gdy otworzył oczy, zobaczył ciemną ulicę oświetloną złotym światłem ulicznych latarni oraz słabymi jeszcze różowymi błyskami na horyzoncie. Usiłując zebrać myśli, potarł podbródek, a potem klasnął w dłoń.

Pomyślał, że pani Billings jest wykwalifikowaną pielęgniarką oraz o tym, że w jego domu nadal jest wiele udogodnień potrzebnych chorym - od uchwytów przy wannie i w holu, po wózek inwalidzki w stodole, która teraz służyła za garaż...

Odwrócił się i spojrzał na B.J.. Leżała w bezruchu. Chyba w końcu zasnęła, przemknęło mu przez myśl. Wyszedł po cichu, a potem znalazł w pobliżu otwarty bar, gdzie napił się kawy. Jakiś czas jeszcze spacerował w zamyśleniu po sąsiednich ulicach, wreszcie udał się do szpitalnej kaplicy.

Gdy wracał do pokoju B.J., szpitalny korytarz rozbrzmiewał już zwykłymi, codziennymi odgłosami. Chciał porozmawiać z jej lekarzem, doktorem Wahlerem, ale go nie zastał. Natomiast

jedna z pielęgniarek, którą już wcześniej widział przy łóżku B.J., chętnie podzieliła się swą opinią o chorej.

- Ona jest nierozsądna - powiedziała, gwałtownie potrząsając głową. - To przecież nie jest dom starców! Poza tym może wynająć sobie prywatną pielęgniarkę, może też zainstalować sprzęt rehabilitacyjny w swoim mieszkaniu. Z pewnością na to ją stać! - Wzruszyła gniewnie ramionami i zakończyła rozmowę.

Hamish wyszedł na korytarz i zadzwonił do pani Billings.

- Mam nadzieję, że przywiezie ją pan do domu - podchwyciła od razu. - Żadna z tych klinik rehabilitacyjnych nie jest dobra. Przeznaczone są dla ludzi, którzy nikogo nie mają.

- To doskonale pasuje do B J. Doili ver - wtrącił. - Jest samą, z własnego zresztą wyboru.

- A kto zignorował jej wyraźną prośbę o nieskładanie wizyt? - naciskała. - Do kogo zadzwoniła, gdy potrzebowała pomocy? I kto ostatecznie usiłuje jej pomóc...?

Wciągnął głęboko powietrze i przymknął oczy, jakby usiłował obronić się przed czymś nieuchronnym. Pragnął, by zamieszkała u niego i jednocześnie się tego obawiał. B.J. w jego domu - w dzień i w nocy - potrzebująca go, prowokująca i podniecająca, a jednocześnie powracająca do zdrowia pod opieką jego rodziny.

BJ. - przy niej czuł, że żyje, naprawdę żyje.

- Oczywiście, decyzja należy do pana, pastorze - zakończyła pani Billings - ale jeśli pyta pan o radę, zna pan moją opinię.

- Dziękuję - wymamrotał i przerwał połączenie.

Gdy wszedł do pokoju, B.J. znów siedziała na brzegu łóżka. Nawet nań nie spojrzała, gdy cierpliwie wyjaśniał dobre strony udania się do specjalistycznego ośrodka. Nagle wstał z krzesła,

podszedł do okna i stanął do niej plecami. Wolał, by nie wyczytała z jego twarzy, że w głębi duszy myślał co innego.

- Decyzja należy do ciebie - odezwał się w końcu.

- Odejdź! - powiedziała ochryłym głosem.

Zrobiła się nieuprzejma... Teraz już mógł się tym zająć.

- Wróciliśmy do punktu wyjścia? - spytał ostro, odwracając się do niej.

- Odejdź! - powtórzyła z większą mocą. - Kto ciebie tu potrzebuje?

Gdy się do niej zbliżył, zauważył, jak krucha była maska, którą prezentowała światu. I nagle serce zapłonęło mu w piersi.

- Ty - powiedział cicho.

- Nigdy cię nie potrzebowałam - odparła drżącymi wargami.

- Myślę, że mnie potrzebujesz - nalegał, z trudem panując nad sobą, by nie wziąć jej w ramiona.

- Nie mogę iść do jednego z tych... miejsc - powtórzyła teraz bezradnie. - Nie pójdę...

- Możesz mieć prywatną opiekę w mieszkaniu.

- Och, nie chcę obcych ludzi, którzy będą się zmieniać co kilka godzin i mówić do mnie tak, jakbym była sześciolatnim dzieckiem. Śniadanie o ósmej, lunch o dwunastej... Och, obiadu nie podam, bo to należy do następnej zmiany... I będą węszyć wokół, wszędzie wścibiać nos i zawsze się spieszyć. Jak można to nazwać opieką domową? W gruncie rzeczy będą mnie nienawidzić. Ja nie jestem miłą pacjentką...

Wpatrywał się uporczywie w luźny kosmyk jej włosów, ponieważ ona miała twarz odwróconą i ciągle wpatrywała się w ścianę.

- W porządku - powiedział miękko. - Możesz pojechać do mnie, do mojego domu.

Gwałtownie odwróciła twarz od ściany i teraz przyglądała mu się z rozpazą, zastanawiając się, czy odkrył już, co czuła, ile bezsennych nocy spędziła, z przerażeniem wyczekując świtu Czy domyślił się, że była tak bliska załamania jak nigdy przedtem⁹ Z pewnością już me starała się kryć przed nim niepokojem Poza tym zadzwoniła do niego W jakiś dziwny sposób się do niego przywiązała Choć, Bóg świadkiem, naprawdę nie chciała nikomu ufać

Patrzyła teraz w jego przystojną twarz, pełną wewnętrznej siły, obserwowwała sposób, w jaki stał, zapewne nie zdając sobie sprawy, jak silny i potężny jej się wydawał Był jedynym człowiekiem, na którym mogła polegać

- Pojadę z tobą do domu - powiedziała cicho

Czyżby dojrzała cień zalu na jego twarzy? Ale nawet jeśli już przeczuwał, że popełnił błąd, nie wycofał swej propozycji

- Stawiam jednak pewne warunki - powiedział dość twardo

- Zrobię, co zechcesz - zgodziła się szybciej, niż zdała sobie sprawę z tego, co mówi

- Dasz mi słowo, uroczyste i święte słowo, że będziesz uprzejma i serdeczna w stosunku do pani Billings i moich córek I że nigdy nie obrazisz żadnego członka mojej kongregacji

Patrzyła na niego w niemej rozpacy, próbując wykrzesać z siebie choć odrobinę pewności, która nagle ją opuściła

- A ja dam ci słowo, że się tobą zaopiekuję - dodał prawie szeptem - Zrobię wszystko, co w mojej mocy

Opuściła głowę, czując, że podbródek jej drzy, a zniechęcone łzy płyną strumieniami z jej oczu To była klęska, choć nie rozumiała do końca, czemu właściwie uległa Czułości Poczuciu zależności od innej osoby Czy okaże się, że jego

opieka będzie również więzieniem, tylko trochę lepszym od płatnych opiekunek na trzy zmiany?

Podszedł do niej i objął ją, a ona dłuższą chwilę płakała wtulona w jego koszulę. Po raz pierwszy w życiu czuła, że ktoś dzieli z nią trudy życia.

- Będziesz mogła odejść, kiedy zechcesz - zapewnił. - Dopilnujemy, żebyś kontynuowała terapię. Pomożemy ci wyzdrowieć. Jeśli zechcesz, będziesz mogła pomóc w pracach domowych. I nie będziesz musiała być dla mnie miła... W stosunku do mnie możesz pozwolić sobie na złość.

Przycisnęła mu do piersi zdrową rękę zwinętą w pięść.

- Do diabła z tobą! - wykrzyknęła przez łzy. - Jesteś najbardziej niemożliwym facetem, jakiego w życiu spotkałam!

- Oczywiście, nie będziesz musiała chodzić z nami do kościoła - ciągnął, gdy oderwała się od niego, a łkania jej zaczęły cichnąć. - I nie będziesz musiała się modlić.

- Jesteś niemożliwie denerwujący - powiedziała. - Nie mogę się doczekać chwili, gdy będę mogła opuścić twój dom i powiedzieć ci, żebyś sobie poszedł do diabła!

Parsknął szczerym śmiechem i potarł ją za włosy.

- A więc dajesz mi słowo? Wypisujemy cię stąd?

- Tak, tak, tak! Musimy tylko wypożyczyć wózek. Kule należą do mnie... I nie mam nic do ubrania.

- Prawie jak powrót do domu z noworodkiem - zażartował.

Nie była zachwycona tą uwagą, ale ją zignorowała. Pragnęła jak najszybciej wydostać się ze szpitala.

- Klucz do mojego mieszkania jest w torebce - powiedziała. - Może mógłbyś tam pojechać i wziąć trochę rzeczy? To niedaleko stąd.

- Zaufaj mi - powiedział z uśmiechem.

Powinna się na niego złościć, ale był tak łagodny i przymiłny... Na pewno weźmie same nieodpowiednie rzeczy, ale... no cóż, trudno... po prostu dała mu klucz.

Hamish Chandler wprawiał ją w zakłopotanie, bawił, złościł, a nawet doprowadzał do furii - ale jednocześnie pobudzał ją do działania. Przez ostatnie kilka tygodni walczyła z nim zawzięcie, ponieważ walczyła o... niezależność. Ale równocześnie, o dziwo, nie mogła sobie wyobrazić dalszego życia bez niego.

Ten mężczyzna był prawdziwą zagadką. Nie mogła zrozumieć, dlaczego ją tak pociągał. Może wypadek samochodowy zmącił także jej umysł... ?

Tak czy owak, wybierała się teraz do jego domu, ponieważ nie miała dokąd pójść.

Hamish, jadąc do jej mieszkania, doszedł do wniosku, że po podjęciu decyzji B.J. jakby z powrotem wróciła do życia. Choć z pewnością niewiele w niej zostało z zadziornej sekutnicy.

Pani Billings z radością przyjęła nowinę. Teraz w domu trwały przygotowania na przyjęcie gościa. Hamish znów zadumał się nad osobowością B.J. Doili ver. Ciekaw był, jak długo będzie ona w stanie podporządkować się jego warunkom...

W mieszkaniu B.J. przede wszystkim rzuciły się w oczy fotografie - duże, lśniące powiększenia oprawione w chromowane ramki dekorowały wszystkie ściany. Na toaletce w nieładzie stały rozmaite statuetki, które otrzymała jako nagrody za swoje zdjęcia. W jadalni i sypialni piętrzyły się stosy wycinków prasowych. Niektóre z nich Hamish spakował do walizki. Być może B.J. zechce je uporządkować, a dzięki temu wróci myślami do przeszłości i zrozumie, że ma po co żyć...

Mieszkanie było umeblowane elegancko, kosztownymi, sprowadzonymi z całego świata meblami. Pomyślał, że jego skromny dom nie zrobi na niej wrażenia. B.J. nie będzie w nim szczęśliwa. Chyba że długi pobyt w szpitalu zagłuszył nieco jej kosztowne upodobania.

Ze ściany w sypialni zdjął dwie oprawione fotografie i zaniósł do bagażnika. Miał nadzieję, że dzięki nim poczuje się bardziej jak u siebie w domu. W sypialni przeszukał szafę i komodę. Wreszcie spakował dwie walizki ubrań i torbę butów.

W drodze powrotnej zatrzymał się jeszcze po elektryczny wózek, który zarezerwował dla niej doktor Wahler.

Gdy zaniósł B.J. podręczną torbę, by mogła się przebrać, wyrzuciła z niej wszystko na łóżko - majtki, stanik, kosmetyki, bluzkę, spódnice.

- Cóż, widzę, że szukałeś we właściwym miejscu - powiedziała z kwaśną miną. - Ale zazwyczaj nie noszę koronkowych majtek, chyba że chcę na kimś zrobić wrażenie.

Nie chciał o tym słyszeć. Nie chciał słyszeć o innych mężczyznach w jej życiu.

- Zamierzałem położyć cię w swoim gabinecie - zmienił temat - ale to nie ma sensu. Dam ci swoją sypialnię, a sam zostanę w gabinecie. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciw temu.

- Przecież to twoja sypialnia. Cóż mam mieć przeciw temu?

- Sypialnia jest na górze. Będę cię musiał nosić w tę i z powrotem - wyjaśnił, a potem odwrócił wzrok. Doznał dziwnego wrażenia. Sam przed sobą nie chciał przyznać, jaką dziką przyjemność sprawiało mu tulenie jej w ramionach. Nie chciał również przyznać, że budziła w nim coraz głębsze współczucie.

ROZDZIAŁ TRZECI

Samochód Hamisha Chandlera przypominał kadłub ogromnego statku nadwerężonego przez rdzę. Wewnątrz natomiast był nienagannie czysty. Gdy B.J. została posadzona w środku, dziękowała Bogu, że udało jej się utrzymać język za zębami.

- Należał do wyposażenia probostwa - wyjaśnił Hamish z uśmiechem. - Jeździ gładko i sprawnie. Tak jakby się siedziało na chmurze.

Nawet nie pomyślała, żeby spytać, gdzie jest Kolstad. Zresztą, wcale jej to nie obchodziło. Po prostu to było miejsce, gdzie Hamish żył i pracował.

Jakkolwiek nie miała wielu kontaktów z osobami duchownymi, Hamish, jej zdaniem, wcale nie przypominał pastora. Był napróżną porywającą mężczyznę. Nie mogła zapomnieć tego potężnego prądu, który wstrząsnął jej ciałem, gdy trzymał ją w ramionach. Jak dotąd żaden mężczyzna nie wyzwolił w niej tyle kobiecości i bezradności. Tęskniła za jego wizytami, choć przyznawała się do tego z niechęcią. Tęskniła za jego śmiechem, pewnością siebie oraz sposobem, w jaki przyjmował jej napaści. Traktował ją tak, jakby była rozkapryszonym dzieckiem.

Kolstad znajdowało się zaledwie pół godziny drogi od centrum i szpitala. Najpierw zobaczyła pola kukurydzy, potem podmiejskie domy, a w końcu niewielkie stare miasteczko pośrodku rozwijających się przedmieść. Skręcili na podjazd wiodący do

niewysokiego starego domu otoczonego równo przyszyżonymi trawnikami i połaciami łąk.

Za domem znajdowały się dwie komórki - jedna duża, służąca jako garaż, i druga, pełniąca rolę domku do zabaw dla dzieci. Właśnie stamtąd wybiegły im na powitanie dwie małe dziewczynki.

Hamish pochylił się, uściśkał je i wziął na ręce. Potem postawił je na ziemi i otworzył drzwi samochodu.

- Powinnaś powiedzieć im, jak się nazywasz - zażartował. - Ja nigdy cię nie pytałem...

- B.J. - przedstawiła się ochryple.

- Chodzi mi o twoje prawdziwe imię - nalegał z rozbrajającym uśmiechem.

- Po prostu B.J. - powtórzyła.

- Belinda Jean? Begonia Jasmine? No, przyznaj się.

- Brenda Jane - odparła z niechęcią. - Nie cierpię go.

- Brenda Jane to piękne imię - zaprzeczył kurtuazyjnie. Położył ręce na głowach dziewczynek, wyższej - z ciemnymi kręconymi włosami - i mniejszej - z prostymi blond. - To jest Emma, a to Annie. Przywitajcie się z Brendą, dziewczynki.

Emma wysunęła się do przodu z szeroko otwartymi oczami pełnymi niewinnej ciekawości.

- Tata powiedział, że masz kule...

Annie trzymała się trochę z tyłu, z palcem w buzi i zerkła zza spodni ojca na nieznajomą.

- A teraz pozwólcie Brendzie wysiąść z samochodu - powiedział Hamish, odciągając Emmę na bok. - Brenda musi sama stanąć na nogach.

Dziewczynki cofnęły się posłusznie o krok i obie natychmiast chwyciły się spodni ojca.

BJ. nie była zadowolona, że ma widownię. Gdy już nieporadnie usadowiła się na krawędzi fotela, Emma podeszła do niej z wyciągniętą ręką.

- Mogę ci pomóc? - spytała.

BJ. spojrzała w brązowe oczy, w których malowała się szczerą gorliwość i uśmiechnęła się przyjaźnie.

- Oczywiście - powiedziała, ujmując małą rączkę dziewczynki. - Pociągnij teraz!

Emma pociągnęła, a BJ. tak długo odpychała się, aż stanęła na obu nogach.

Hamish podszedł i wziął ją na ręce.

- Zabiorę cię teraz do pani Billings - oznajmił. Dziewczynki pobiegły przodem, podskakując i zataczając kółka. Otworzyły jedno, a potem drugie drzwi.

Hamish posadził BJ. na drewnianym krześle przy kuchennym stole przykrytym ceratą. Nie widziała takiej staroświeckiej kuchni od czasu, gdy będąc dzieckiem, odwiedziła krewną mieszkającą na wsi. Jedynym nowoczesnym sprzętem, jaki tu zauważyła, był toster.

Pani Billings miała trochę ponad pięćdziesiąt lat. Ubrana była w spodnie i pasiastą bluzę, która jednak nie kryła jej krągłej figury. Podskoczyła ku B.J., szeroko otwierając ramiona.

- Lemoniady? - zaproponowała. - Kawy?

Nic się nie zmieniła, pomyślała B J. Ta sama okrągła, uśmiechnięta twarz, okolona siwiejącymi włosami; te same ciepłe, roześmiane oczy, które tak dobrze zapamiętała.

- Będziemy mieli kociaki - pochwaliła się Emma. - Rain-bow nosi je w brzuszku.

B J. uśmiechnęła się do Emmy.

- Chcesz się napić lemoniady? - zapytała małą.

- Nie lubię lemoniady. Jest za kwaśna. Lubisz kociaki?

- Nie wiem. Nigdy nie miałam kota.

Braźowe oczy dziecka zrobiły się okrągłe jak spodki.

- Nigdy nie miałas kota? - Ton jej głosu świadczył, że uważa to wydarzenie za coś gorszego niż wypadek samochodowy.

- Co w tym złego? spytała B.J. z wyzwaniem. - Nigdy mi tego nie brakowało.

Zdumienie Emmy zdawało się nie mieć granic.

- I nigdy żadnego nie przytulałaś?

- Nie. Koty mnie nigdy nie obchodziły.

- Nigdy nie obchodziły cię koty! - Emma spojrzała z przerażeniem na Annie, której niebieskie oczy również odzwierciedlały niepokój. Najwyraźniej obie dziewczynki jej współczuły.

Pani Billings zaśmiała się głośno, B.J. zaś przewróciła oczami, ponieważ przez chwilę poczuła się tak, jakby znalazła się w innym świecie. Małe dziewczynki powinny lubić muzykę młodzieżową i lalki Barbie. Koty były stanowczo *pass*. Dlaczego nie eksperymentowały z makijażem lub nie oglądały telewizji jak inne normalne dzieci?

- Napiję się lemoniady - powiedziała do pani Billings.

- Naprawdę jest kwaśna - ostrzegła lojalnie Emma.

- To są bagaże Brendy - oświadczył Hamish, wchodząc z walizkami.

- Do diabła, jestem B.J.!

- Nie przeklinaj w obecności dzieci - poprosił.

- Przepraszam, ale nie jestem żadną Brendą. Tak się nazywała postać z pewnej opery mydlanej, która podobała się mojej matce.

- To bardzo kobiece imię, tak jak ty... czasami. - I dodał: - Brendo Jane.

- Wielki Boże, dopomóż! - jęknęła, znów przewracając oczami. W odpowiedzi usłyszała śmiech.

Annie wdrapała się na krzesło, oparła łokcie na stole, a na nich podbródek i przyglądała się B.J. w milczeniu. Emma natomiast kręciła się po kuchni, paplając o szkole, do której właśnie zaczęła chodzić, o grze w chińczyka oraz o tym, jak nienawidzi ananasów, ponieważ pieką ją w język. Pokazała B. J. ruszający się ząb i oświadczyła, że dzięki jej przyjazdowi nie musiała przebierać się po szkole i mogła zostać w przyzwoitych rzeczach.

- Tata ma zamiar spać w gabinecie - oświadczyła, skacząc na jednej nodze.

- Czy zawsze tyle mówisz? - spytała B.J. - Usta ci się nie zamykają.

- Zawsze. Pani Billings nazywa mnie szczebiotką. A tata mówi, że odkąd powiedziałam pierwsze słowo, już nie przestałam mówić. - Piskliwy śmiech rozległ się w kuchni. - Ale to nieprawda, ponieważ nie mówię we śnie ani w kościele. Ani w szkole, gdy ma być cicho.

- A dlaczego tyle mówisz? - spytała B. J., urzeczona tą miniaturową wersją wielebnego z całą jego radością życia i szczerym uśmiechem, który tryskał z dziewczynki niczym bańki mydlane.

- Jest mnóstwo do powiedzenia - odparła, skacząc w kółko. - Założę się, że tego nie potrafisz.

- Kilka tygodni temu potrafiłam. I pewnego dnia znów będę skakać.

Hamish poszedł po resztę rzeczy do samochodu, a potem zaniósł wszystko na górę do sypialni. W torbie, którą przyniósł jej do szpitala, znajdowało się wszystko, co było jej potrzebne.

Była zachwycona, że tak dobrze zna potrzeby kobiet. Obserwowała teraz, jak zręcznie poruszał się po mieszkaniu; podziwiała jego szerokie ramiona i długie nogi. I nagle przyszło jej do głowy, że musiał mieć w życiu wiele kobiet... Zaczęła się zastanawiać, czy teraz kogoś ma...

By oderwać się od tych kłopotliwych myśli, uśmiechnęła się do Annie, ale dziewczynka nie zareagowała. Niebieskie oczy przyglądały się uważnie, śledząc każdy jej ruch. Puściła do niej oko, potem komicznie skrzywiła twarz, ale nic nie wskórała.

- Wyglądają na bardzo szczęśliwe - westchnęła B.J. do pani Billings.

- Och tak, to bardzo szczęśliwa rodzinka, mimo tej strasznej straty... - Starsza kobieta uśmiechnęła się do Emmy, a potem połaskotała młodszą. Annie zgięła się wół i zachichotała.

BJ.nie mogła sobie przypomnieć, by kiedykolwiek w dzieciństwie czuła się tak swobodnie i bezpiecznie. Nigdy nie była zwykłą małą dziewczynką, lubiącą różowe, falbaniaste sukienki... Jak daleko sięgała pamięcią, zawsze walczyła o względy ojca, współzawodniczyła z jego ukochanymi sportowcami - całe dzieciństwo i młodość usiłowała mu udowodnić, że jest tak samo dobra, jak oni.

Nigdy w życiu widok ojca nie ucieszył jej tak bardzo, by chciała mu się rzucić w ramiona. Zresztą, gdyby zachowała się w tak nie kontrolowany sposób, z pewnością po prostu odsunąłby ją na bok. Czy ojciec kiedykolwiek wziął ją na ręce? Albo choćby pogłaskał po głowie? Nie mogła sobie nawet przypomnieć, by odezwał się do niej inaczej niż burkliwym pomrukiem.

Dopiero później, gdy zaczęła podobać się chłopcom,ponie-waż była ładna i wysportowana, ojciec mógł się nią pochwalić

przed przyjaciółmi. Śmiał się i przechwalał przed całym światem swą małą pożeraczką męskich serc, gdy chłopcy uganiali się za nią stadami. I choć w jedenastej klasie zakochała się na poważnie w Leonardzie Holmesie, flirtowała ze wszystkimi, by nie stracić zainteresowania ojca.

Dziś miała dwadzieścia siedem lat i właściwie nigdy nie była naprawdę związana z mężczyzną. Mimo że z wieloma się spotykała, żadnego zbyt blisko do siebie nie dopuściła. Paniecznie obawiała się intymności...

- Jakże się cieszę, że znów cię widzę - powiedziała nagle pani Billings. - Deb mówi o tobie przez cały czas. Śledziłyśmy całą twoją karierę. Jesteś chyba najodważniejszą kobietą, jaką znam.

- Naprawdę? - zdziwiła się, nieco wystraszona tym nagłym wyznaniem pani Billings. - Dziękuję pani. A ja z kolei zawsze podziwiałam Deb, że była taka... taka normalna.

Starsza pani spojrzała na nią z zaciekawieniem. Twoje fotografie są niezwykle! - podjęła. - Cieszę się, że przywiozłaś kilka ze sobą. Pastor wiesz je teraz w twojej sypialni.

- Och, wołałabym z nim porozmawiać... - Nie zauważyła, co przyniósł. Widziała tylko, jak przechodził przez kuchnię obciążony bagażami.

Pani Billings podniosła się i wyszła spokojnym krokiem.

- B.J. chce z panem porozmawiać - zawołała. - Chyba o fotografiach...

Chwilę później Hamish pochylał się nad B.J.

- Co tam wyprawiasz? - spytała ze złością.

Mamish w odpowiedzi wziął ją na ręce i zaniósł do sąsiedniego! pokoju. To była jadalnia, której okna z ołowiowymi szyb

kami wychodziły na frontowy ganek. Pośrodku pokoju stał komplet stylowych mebli. Hamish skierował się na prawo, ku łukowatym drzwiom z lśniącego drewna, po ich obu stronach stały szafy biblioteczne. Naprzeciwko znajdowała się klatka schodowa wyłożona drewnianą boazerią.

Niósł ją z taką łatwością, jakby była dzieckiem - ostrożnie, ale bez wysiłku. Na górze schodów skręcił w lewo i wszedł do sypialni. Pośrodku stało antyczne podwójne łóże z baldachimem. Posadził ją na brzegu.

- Co to ma być? - spytała z dezaprobatą, gdy spojrzała na ścianę, na której powiesił dwie fotografie.

- Pomyślałem, że poczujesz się bardziej swojsko - odparł. - Gdybyś ich nie lubiła, nie powiesiłabyś ich u siebie na ścianie.

Poczuła się trochę tak, jakby ją rozebrał.

- Podobały mi się tam, gdzie były - przerwała mu, zanim zdążyła wymyślić coś bardziej niegrzecznego.

Co za ironia, że przebywanie tutaj, z tym mężczyzną, w tym wygodnym, mieszczkańskim pokoju - sprawiało, że czuła się tak bezbronna.

Hamish nagle przestał się uśmiechać.

- Przepraszam cię, Brendo - powiedział cicho, sięgając po jedną z fotografii. - Nie chciałem ci zrobić przykrości ani cię zdenerwować. - Ostrożnie zdjął fotografię ze ściany, potem sięgnął po drugą. - Myślałem, że poczujesz się lepiej, jeśli zaraz po przebudzeniu zobaczysz coś bliskiego sercu. - Zdjął drugą fotografię, a potem chwycił złożoną kapę, którą również przywiózł z jej mieszkania.

- Och, nie, proszę... - zawołała jęklonie, zdenerwowana i przerażona jego postępowaniem, które przecież świadczyło jedynie o opiekuńczych instynktach.

- Jutro zawiozę wszystko z powrotem - oświadczył poważnym tonem. - To było nierozważne z mojej strony. Powinienem najpierw cię zapytać.

Położyła się na miękkim materacu i przykryła ręką oczy. Pod głową wyczuła kapę, którą przyciągnęła bliżej do twarzy.

- Nie! - zaprotestowała. - Zostaw je. Masz świętą rację. Dobrze jest mieć trochę własnych rzeczy.

Pochylił się nad nią i położył dłonie po obu stronach jej głowy.

- Przykro mi, że dokonałem złego wyboru. - Przesuwał wzrokiem po linii jej ust. - Chcę, byś dobrze się tu czuła, Brendo Jane. Wiem, że nie jesteś do takich warunków przyzwyczajona. Nie ma tu drogich, wyszukanych przedmiotów, jest dość ciemno przez większość dnia, więc wydawało mi się, że jest to sposób, by cię trochę rozweselić. - Popatrzył jej bacznie w oczy. - Chcę się tobą dobrze zaopiekować - dodał cicho, uśmiechając się do niej ciepło i nieśmiało.

Zdawała sobie sprawę, że na to nie zasługuje. Dotykał teraz czegoś w głębi jej serca - jakiejś czulej struny, jakiegoś bolesnego miejsca... Przytuliła miękką kapę do policzka, czując, że zbiera jej się na płacz.

- To ja jestem ci winna przeprosiny - wyjąkała wreszcie. - Naprawdę miło z twojej strony... Po prostu mnie zaskoczyłeś, a gdy jestem zaskoczona, atakuję bez namysłu. Powieś je z powrotem.

Popatrzył na nią z niedowierzaniem.

- Proszę - powtórzyła. - Chcę widzieć je codziennie, gdy otworzę oczy. I jest mi naprawdę przykro... Masz bardzo miły dom, „Hamish... Jest tu czysto i wygodnie. W moim mieszkaniu nigdy nie ma porządku.

Pochylił ku niej głowę i z leniwym uśmiechem przyglądał się jej twarzy; sprawiało jej to dziką przyjemność.

- Dobrze, zawieszę je z powrotem - powiedział.

Kilka minut później pani Billings pomogła jej przebrać się w koszulę i położyć do łóżka przed obiadem. B.J. obserwowała, jak gospodyni wyjmuje ubrania z walizek i skrzętnie układa je w szafie.

- Pastor mówi, że postanowiłaś udowodnić lekarzom, że się pomylili - powiedziała pani Billings, wieszając bluzkę. - Życzę ci tego z głębi serca. Gdy pomyślę o twoim życiu, o tych wszystkich przystojnych chłopcach...

- Och, to tylko tak wyglądało - przerwała jej, łamiąc własne zasady. - Oni nie byli moimi kochankami. Wiem, że ludzie tak myślą, ale naprawdę się mylą... Z żadnym z nich nie byłam blisko. Nie ufam mężczyznom. Wiem, jacy są... To bardzo trudne zasłużyć na ich miłość. Zresztą, świetnie radzę sobie sama.

Nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać, gdy pani Billings poklepała ją po ręce i potrząsnęła głową. Na dnie jej oczu ujrzała zrozumienie i jakby... żal.

Po tym wyznaniu B.J. poczuła się nieco lepiej. Po wyjściu gospodyni wyciągnęła się wygodnie na łóżku i spojrzała w zadumie na wiszące na ścianie fotografie. Skąd Hamish wiedział, że ich widok podniesie ją na duchu?

Hamish... Ciągle nie potrafiła uwierzyć, że jest pastorem. Gdy zobaczyła go po raz pierwszy przy swym szpitalnym łóżku, zauważyła z ulgą, że nie patrzył na nią ani z obrzydzeniem, ani z irytującym współczuciem, którego nienawidziła jeszcze bardziej. Posiadał taką wyciszoną, wewnętrzną pewność siebie i pewien ujmujący rodzaj łagodności, który działał rozbijająco

na jej wojowniczą naturę. A poza tym, a może przede wszystkim - podobało jej się jego ciało. Szeroka klatka piersiowa, płaski brzuch i dłonie - delikatne i męskie zarazem, które już tyle razy ją podtrzymywały.

Żaden duchowny, jakiego kiedykolwiek widziała, tak nie wyglądał. Żaden nie miał kasztanowych włosów uroczo opadających na czoło, jakby w błaganii o dotyk kobiety, ani niebieskich oczu świecących figlarnymi iskierkami. To prawda - na duchownego był o wiele za przystojny. A poza tym dotrzymywał słowa - nie robił żadnego religijnego przedstawienia, nie moralizował, nie usiłował pokazać, że się za nią modli. Przez cztery tygodnie znajomości ani razu nie widziała, by złożył ręce jak do modlitwy. Oczekiwała takich gestów, ale się nie doczekała.

Był świadkiem jej płaczu. Odkąd skończyła siedem lat, nikt nie widział, jak płakała. Ojciec nie znosił hysterii. Aby zyskać jego uczucie, musiała nauczyć się być twarda, silna i samowystarczalna. Tylko takich ludzi akceptował. Jeśli więc kiedykolwiek płakała, to wyłącznie wówczas, gdy nikogo nie było w pobliżu,

Hamish Chandler widział jej poranioną twarz wówczas, gdy lekarze nie pozwalali jej samej spojrzeć w lustro. Wiedziała już, że została oszpecona na zawsze... Pamiętała twarze, które patrzyły na nią, gdy odzyskała przytomność. Pamiętała, jak Cecil i Ron - koledzy reporterzy - unikali jej wzroku, stojąc przy jej szpitalnym łóżku. Dlatego właśnie zabroniła wszelkich wizyt.

Wygląd był dla niej ważny - ale tylko po to, by przyciągnąć uwagę ojca. Nie zależało jej bowiem na żadnym z tych wysportowanych samców, którzy przewinęli się przez jej życie. Była aż nadto inteligentna i silna, aby nie pozwolić im zbyt blisko do

siebie podejść. Z pewnością wielu z nich doznałoby szoku, gdyby odkryli, że B.J. Dolliver nadal jest dziewicą... Kto by w to zresztą uwierzył? Oczywiście, oprócz mężczyzny, którego kiedyś poślubi. Jeśli w ogóle kogoś poślubi...

Nauczyła się bezbłędnie dawać sobie radę w tym bezlitosnym świecie. Jej ojciec - mężczyzna o kamiennym sercu, który dorobił się majątku na sieci sklepów ze sprzętem sportowym - okazał się pod tym względem doskonałym nauczycielem. Nigdy nie oddawał swego serca - to była jego życiowa dewiza.

A teraz leżała w łóżku mężczyzny, który jako jedyny w całym jej dotychczasowym życiu mógł ją skłonić do sprzeniewierzenia się tej zasadzie.

Hamish był rozczarowany, że B.J. woli zjeść na górze, zamiast usiąść z rodziną do stołu. Ale ponieważ była to jej pierwsza noc, pozwolił pani Billings zanieść tacę na górę. Nadal mieli specjalną tacę, stawianą na łóżku, której używała podczas choroby Maralynn.

Gdy dzieci poszły spać, zapukał cicho do drzwi B.J. Zaprosiła go do środka, wszedł więc i usiadł na krześle obok łóżka.

- Chciałbym porozmawiać o twoim rozkładzie zajęć - zagaił rozmowę.

- O wpół do drugiej będzie przyjeżdżać karetka i zawozić mnie na terapię - powiedziała. - O czwartej będę z powrotem.

- Zazwyczaj wychodzę z domu o ósmej - odparł. - Ale będę wracać o dziesiątej, żeby cię znieść na dół, Brendo. Mam nadzieję, że zjesz jutro z nami obiad...

Ale nie spełniła jego prośby.

Nazajutrz wieczorem, gdy wszedł po tacę, przygotowany był na konfrontację i być może spór, ale zastał ją pogrążoną wet śnie.

Twarz jej, wsparta na wysokich poduszkach, wyglądała uroczo i zwodniczo anielsko, światło zaś małej lampki nocnej podświetlało od spodu miękkie fale włosów. Ledwie tknęła jedzenie. W zaciśniętej dłoni trzymała serwetkę.

Ostrożnie pochylił ją do przodu, wyjął dodatkowe poduszki z za jej pleców i położył ją na wznak. Chwilę przytrzymał w dłoni jej rękę i obserwował, jak wolno i równo oddycha. Jak urzeczony powiódł wzrokiem po jej twarzy, po delikatnej linii jej podbródka i szyi, a potem popatrzył na małą, poszarpaną bliznę na policzku, która już się goiła. Gdy z wolna zbliżył jej drobną dłoń do swojej twarzy, bezwiednie zaciśnęła palce wokół jego kciuka. Zmagał się przez chwilę z potężnym pragnieniem, by przyłożyć tę małą dłoń do swojej piersi. Ale przeląkł się własnej zmysłowości, szybko schował jej dłoń pod koć i podszedł do okna. Popatrzył na ogród i łąkę. Od dłuższego czasu nie pożądał żadnej kobiety...

Pogodził się już z bólem po śmierci Maralynn. Gdy ogarniał go zły nastrój, starał się wtedy myśleć o swoich dzieciach, o członkach swego kościoła, o codziennych wydarzeniach związanych z pracą. Dom jego był szczęśliwym domem i za to codziennie dziękował Bogu. Jego ukochane córeczki były zdrowe, a gospodyni opiekowała się nimi jak rodzona ciotka. Wreszcie miał pracę, którą cenił.

W jego życiu nie było miejsca dla tej rozgoryczonej kobiety, walczącej z losem, który najprawdopodobniej był nieuchronny. A jednak od dnia, w którym ją poznał, wypełniała jego myśli. Nie pojmował - dlaczego. Przynajmniej na razie tego nie wiedział...

Annoże pewnego dnia ona zniknie, przeminie jak przelotny sen nigdy się tego nie dowie?

Zanim opuścił sypialnię, pochylił się nad B.J. i pocałował w czoło. Postanowił, że jutro znieśie ją na dół na obiad.

Następnego dnia, gdy przyszedł ją odwiedzić, leżała z głową przechyloną na jedną stronę. Z wysiłkiem podniosła powieki.

- Jestem bardzo zmęczona - wymamrotała pod nosem.

- Pozwól więc, że cię nakarmię - zaproponował cicho, odsuwając kosmyk włosów z jej czoła. - Musisz coś zjeść.

Zszedł na dół po tacę. Gdy wrócił, B.J. nadal leżała z głową opartą o poduszki.

- Wszystko będzie dobrze - zapewnił ją. - Tylko otwórz usta.

Powoli zjadła prawie całą porcję.

- Wystarczy - podziękowała półgłosem, przechylając sennie głowę na bóg.

Tak jak poprzedniego wieczoru, wyjął jej spod głowy dodatkowe poduszki, podciągnął koc pod brodę i przed wyjściem pocałował ją w czoło.

W niedzielę doszedł do wniosku, że wytworzony rytuał stanowczo należy przerwać. Gdy wszedł do pokoju, Brenda była rozbudzona i siedziała na łóżku wyprostowana.

- Postaw bliżej tacę - powiedziała. - Dziś mogę zjeść sama. - Rozpostarła serwetkę i zaczęła jeść z uśmiechem, tak jakby właśnie wygrała pojedynek z przeciwnikiem.

- Gratuluję - powiedział, sadowiąc się na krześle.

- Dziś nie jestem tak zmęczona - wyjaśniła - ponieważ nie byłam na terapii. A poza tym nie wiem, czy to dobrze, że karmisz mnie co dzień i przyglądasz się, jak zasypiam... Właściwie, co tutaj robisz? - dodała wyzywająco, podnosząc łyżkę do ust.

- Poprawiam ci poduszki, nakrywam kocem i... całuję cię

na dobranoc - odparł. - W czoło - dodał z uśmiechem, ponieważ popatrzyła na niego zdumiona i chyba przerażona. Obserwował zagadkową grę uczuć na jej twarzy.

- Zazwyczaj nie lubię, gdy ktoś narusza moją prywatność - powiedziała po namyśle. Skupiła całą uwagę na talerzu, próbując pokroić mięso, które uciekało spod widelca.

Hamish położył dłoń na jej palcach i pomógł przekroić mięso na dwa kawałki. Spojrzała na niego złym wzrokiem.

- Dlaczego nie lubisz, gdy ktoś cię dotyka? - spytał. - W ten sposób nigdy nie znajdziesz męża - dodał żartem.

- Nie jestem dobrym materiałem na żonę - odparowała.

Gdy B.J. we wtorek po raz pierwszy usiadła z nimi do stołu, Hamish oznajmił, że nazajutrz będzie musiała towarzyszyć jego rodzinie w kościele podczas wieczornego nabożeństwa.

- Nie zamierzam uczestniczyć w twoich praktykach religijnych - burknęła niegrzecznie. - Chcę zostać w domu.

- Nie narzucam ci mojej wiary, Brendo - wyjaśnił z irytującą cierpliwością. - Po prostu nie chcę zostawić cię samej w domu. Jeśli nie znajdę nikogo, kto będzie mógł z tobą zostać, będziesz musiała dotrzymać nam towarzystwa.

- Nie potrzebuję opiekunki - zaprotestowała.

- Ależ potrzebujesz. A co zrobisz, jak wybuchnie pożar? Albo gdy upadniesz?

Z pewnością miał rację, co doprowadzało ją do furii.

- Jeśli spodziewasz się, że będę tam wysiadywać godzinami i modlić się... - Urwała, ponieważ przypadkiem zerknęła na przestraszone twarze siedzących naprzeciw niej dziewczynek.

Hamish podążył za jej wzrokiem. Odłożył widelec i chwycił Emmę za ramię.

- Brenda wcale tak nie myśli - powiedział szybko. - Annie? Emmo? Brenda jest po prostu zdenerwowana i źle się czuje. A to nie oznacza, że jest zła na nas. - Odsunął krzesło i podszedł do Annie, która siedziała przy grubym słowniku. Pochylił się nad nią i szepnął tuż przy jej policzku: - Wszystko w porządku, kochanie. Ona nie chciała was przestraszyć.

- Ona jest wstrętna! - rozległ się cichy dziecięcy głosik. B.J. poczuła się tak, jakby wbijano jej nóż w piersi. To były pierwsze słowa, które drżącym falsetem wypowiedziało przy niej to dziecko przypominające aniołka.

- Ona wcale nie jest wstrętna - przyszedł jej w sukurs Ha-mish. - To tylko pozory. Tak naprawdę ona jest... - popatrzył na B.J. - ...ona jest niegrzeczna.

- Nie lubię, gdy jesteś niegrzeczna - odezwała się Emma, nie odrywając od B.J. załzawionych oczu.

B.J. sztywno siedziała na krześle. Nie potrafiła zrozumieć, co takiego zrobiła, że dzieci poczuły się wystraszone. Przecież nie krzyczała ani niczym nie rzuciła...

- Co ja takiego zrobiłam? - odważyła się wreszcie zapytać.

- One nie są przyzwyczajone, by ktoś w tym domu używał ostrych słów - powiedział Hamish, wracając na swoje miejsce. - I nie przywykły do tego, by ktoś atakował ich ojca. - Na wpół rozbawiony, na wpół zły uniósł widelec. - Jedzcie, dziewczynki. Po obiedzie przeczytam wam bajkę.

Kiedy zjadły i wyszły do bawialni, B.J. zwróciła się z pretensją do Hamisha:

- Masz niezbyt wiele czasu, by znaleźć mi kogoś do opieki. Mogłeś mnie wcześniej uprzedzić.

- Zrobię wszystko, by kogoś znaleźć - zapewnił.

- Przykro mi, że przestraszyłam dziewczynki - powiedziała,

oczekując z jego strony słów nagany. Ale gdy się nie odezwał, zaczęła się sama usprawiedliwiać: - Nie zdawałam sobie sprawy... To się już... To się już nie...

- Nie powtórzy? - dokończył.

Spojrzała na niego uważnie. Na dnie jego oczu dojrzała dziwny błysk. Nie był to błysk potępienia.

- Obawiam się, że i tak nie uda ci się już zdobyć zaufania młodszej - powiedział. - Bez względu na to, jak bardzo byś się starała. Annie jest ogromnie nieśmiała i nieufna, nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach.

Sprawy przybrały zły obrót, pomyślała B.J. Miała jednak nadzieję, że uda jej się dotrzymać obietnicy. Teraz już wszyscy wiedzieli, że nie była przyzwyczajona ani do towarzystwa dzieci, ani do życia rodzinnego w ogóle.

Ale przetrwała gorsze rzeczy. I dostawała już w życiu trudniejsze lekcje. Z pewnością uda jej się sprostać nowemu wyzwaniu. .. Przynajmniej do czasu, gdy będzie mogła opuścić ten dom.

Strach, który dostrzegła w oczach dziewczynek, nie dawał jej jednak spokoju. Pamiętała z dzieciństwa, jak bolesne bywały zawody ze strony osób, którym chciało się ufać.

ROZDZIAŁ CZWARTY

W środę po powrocie do domu Hamish oznajmił, że nie udało mu się znaleźć nikogo, kto mógłby wieczorem posiedzieć z Brendą.

B.J., nauczona wczorajszym doświadczeniem, starała się powściągnąć swą reakcję, ale nie do końca się to udało.

- Na pewno starałeś się kogoś znaleźć? - spytała oskarżycielskim tonem.

- Ależ, Brendo, czy sądzisz, że chcę, byś robiła w kościele przedstawienie? - odparował zdziwiony.

Starając się zapanować nad swą twarzą, ciągnęła atak:

- Nie mogę uwierzyć, że zabierasz małe dzieci na nudne dwugodzinne modlitwy!

- To nie tylko modlitwy - odparł.

O wpół do siódmej wyruszyli do kościoła. Hamish szedł przy jej wózku i pomagał prowadzić go po podjeździe. B.J. zastanawiała się, dlaczego wyprowadzał ją wcześniej niż córki...

Przeprawili się przez asfaltową drogę, a potem szli wzdłuż wyżyrowanej ulicy obsadzonej drzewami. Kilkadziesiąt metrów dalej drzewa nagle rozstały się i oczom jej ukazał się imponujący, sześciokątny budynek z dużymi witrażowymi oknami. Miał wyraźnie współczesną architekturę i w niczym nie przypominał małego wiejskiego kościoła, choć posadowiony był na wzniesieniu i otoczony drzewami.

Hamish kroczył obok niej w milczeniu po asfaltowym chodniku, którego jedno pasmo wiodło prosto do głównego wejścia, drugie zaś skręcało w lewo na wzgórze.

Gdy znaleźli się w kościele, blask zachodzącego słońca oświetlał witraże, te zaś rzucały kolorowe refleksy na ołtarz, znajdujący się pośrodku długiej nawy.

- Jak tu pięknie! - zachwyciła się B.J. - Naprawdę pięknie. Był zadowolony z tej pochwały. Przytrzymał jej drzwi, a potem wszedł za nią do wnętrza.

- Nie musisz uczestniczyć w nabożeństwie, jeśli nie chcesz
- powiedział. - Najpierw będzie krótka msza, podczas której zaśpiewa chór. - Wskazał balkon nad ich głowami. - A dzieci będą... Dzień dobry, Tammy.

Zdawało się, jakby młoda kobieta, do której skierował powitanie, wyrosła spod ziemi. Dopiero po chwili B.J. zdała sobie sprawę, że ona pasowała do tego miejsca i po prostu stapiała się z nim w jedną całość. Była ładna - prostą, surową urodą, miała ciemnobłond włosy zaczesane w skromny, francuski warkocz, a na sobie długą, luźną bluzkę maskującą zaawansowaną ciążę.

- To jest Tammy Bantz, żona wikarego, Medforda Bantza
- powiedział Hamish. - A to Brenda Dolliver.

- Chciałam cię poznać, Brendo. - Tammy miała miły głos i ciepły uśmiech.

Oto odpowiednia żona dla duchownego, pomyślała B.J. Cicha, delikatna i skromna.

- Zostawię was teraz same - oznajmił Hamish. - Muszę się przygotować.

Odwrócił się i zniknął w bocznej nawie. Czekala tam na niego jakaś starsza kobieta. B.J. słyszała jeszcze wznoszące się

opadające głosy, nim znów zapadła cisza. W tej kościelnej ciszy było coś uspokajającego i fascynującego...

- Chcesz, bym cię oprowadziła po kościele? - Miękki głos Tammy przerwał jej myśli. Brzmiał prawie jak głos dziecka, pomyślała B.J.

Chciała już szczerze powiedzieć, że niekoniecznie, ale w porę przypomniała sobie obietnicę daną Hamishowi.

- To bardzo miło z twojej strony - mruknęła.

- Po mszy - zaczęła Tammy, wdzięcznym gestem wskazując ołtarz - dzieci będą bawić się i robić różne rzeczy tutaj i na zewnątrz kościoła. Niektóre kobiety zaś będą wyszywały kapy i serwetki, które potem zostaną sprzedane na aukcji, a pieniądze przydadzą się na zakup paczek świątecznych.

- Na Boże Narodzenie? - zdziwiła się B.J. - Jeszcze nawet nie zaczął się październik.

Twarz Tammy pojaśniała.

- Boże Narodzenie to najcudowniejszy okres! Już teraz wszystko planujemy. - Podążyła przodem przez boczną nawę.

- Będziemy wykonywać artystyczne przedmioty - tłumaczyła.

- Wszędzie coś się będzie działo. Wielu z nas zajmuje się przygotowywaniem prezentów i dekoracji...

- Przepraszam, co się dzieje na zewnątrz? - spytała nagle B.J., zdziwiona dochodzącymi odgłosami.

- Piłka ręczna... albo siatkówka - odparła Tammy z uśmiechem. - Świetna zabawa, zwłaszcza jak gra pastor. Oczywiście, czasami jest za chłodno, ale w tym roku mamy piękną jesień.

Gdy przyjechała pani Billings z dziećmi, nakłoniła B.J., aby podjechała bliżej i dzięki temu mogła lepiej się wszystkiemu przyjrzeć. Potem wraz dziewczynkami i Tammy usiadły w>ław-ce obok niej. Kościół wypełniał się ludźmi, słychać było szura

nie stóp po posadzce. Gdy o siódmej B.J. obejrzała się za siebie, zobaczyła tłum ludzi.

Rozległy się dźwięki organów i dopiero teraz przeniosła wzrok na rzeźbiony, dębowy ołtarz oraz na potężnego mężczyznę, ubranego w granatowo-biały ornat, z rękami złożonymi na płaskim brzuchu. Dopiero teraz w białej, sztywnej koloratce wyglądał jak prawdziwy pastor.

- Dobry wieczór, przyjaciele i sąsiedzi - przemówił uroczystym głębokim barytonem. - Dołączcie, proszę, do mnie w modlitwie.

Przy cichych dźwiękach organów uniósł głowę, rozpostarł ramiona w zapraszającym geście i rozpoczął modły. B.J. była zauroczone, gdy mówił. Potrafił hipnotyzować słowem.

Wreszcie po dłuższej chwili wskazał ręką B.J. i powiedział:

- I proszę was, przyjaciele, pomódlcie się o szybki powrót do zdrowia gościa naszego kościoła, młodej kobiety o imieniu Brenda Jane, która wierzy w cuda.

A więc zrobił to! Zrobił na oczach wielu ludzi... Sięgnął w głąb jej serca i wciągnął ją do swego świata tak gwałtownie, że z przerażenia odebrało jej mowę. Jakąś nadludzką, zdawało się, mocą oraz słowami, niczym czarodziejskimi zaklęciami, wciągnął ją nieubłaganie do swego świata.

Ale dla niej był to obcy świat. Obcy i nieznan - jak tajemnicza, bezkresna przestrzeń. Świat, w którym ofiarowano jej czułość i opiekę tak obezwładniającą, że gdy nadejdzie kres rekonwalescencji, może się okazać, że jest niebezpiecznie osłabiona.

Po nabożeństwie zapanowało dziwne zamieszanie. Ludzie rozchodzili się w różnych kierunkach; członkowie chóru prosili

Ośpiwniki, sportowcy poszukiwali piłek, niektóre kobiety udawały się do pracowni rzemiosł, dzieci nawoływały się...

Kilka osób podeszło do B.J. uściskać jej zdrową rękę i zapewnić, że będą się modlić o jej zdrowie. Wyrazili radość z jej pobytu w parafii, ale ich serdeczność słabła, gdy się dowiadywali, że mieszka w domu pastora.

Tammy pochyliła się nad jej uchem i szepnęła:

- Pastor jest bardzo przystojnym wdowcem. Niektórzy ludzie myślą, że to... dość znaczące, skoro młoda, samotna kobieta śpi w jego domu.

- To szaleństwo! - wybuchła B.J. - Hamish nigdy by... Jak można było pomyśleć! Co za ludzie!

- Nie przejmuj się - poprosiła łagodnie Tammy. - Och, chyba niepotrzebnie to powiedziałam. Oczywiście, że to nieprawdopodobne i wręcz śmieszne przypuszczenie. Ale widzisz, dla niektórych ludzi liczą się tylko pozory.

Po chwili, na prośbę B.J., Tammy pomogła jej wydostać się na boisko.

Było to całkiem okazałe boisko otoczone dwoma rzędami ławek. Jadąc po trawie, zobaczyła grupę mężczyzn i kobiet oraz kilkoro dzieci, którzy właśnie dzielili się na drużyny. Gdy już ustawili się w dwa rzędy, ktoś nagle krzyknął:

- Hej, pastarze, idziesz grać?!

- A.jestem potrzebny? - odpowiedział, wybiegając z kościoła przebrany w błuzę i szorty.

- Potrzebny nam dobry rozgrywający!

Pastor pomachał B.J., przebiegając obok i dołączył do jednej z drużyn. Podjechała do ławek wypełnionych publicznością i obserwowała mecz z pewnym smutkiem. W normalnych okolicznościach byłaby teraz w samym centrum gry, zamiast się

dzieć tu jak bezradna idiotka. Och, jakże pragnęła grać, założyć rękawicę, poczuć siłę uderzenia, usłyszeć świst, z jakim piłka przelatuje nad drugą bazą. Chciała czuć piasek pod stopami i to bezbrzeżne podniecenie, gdy udało się dobiec do bazy na czas. Ale zamiast tego wszystkiego... po prostu przyglądała się jak bezradne dziecko.

Gdy Hamish zajął pozycję pałkarza, rozległ się owacyjny krzyk. Udało mu się trafić w piłkę przy pierwszym uderzeniu, potem zaczął biec wokół baz i zdążył przed powrotem piłki. Był rewelacyjny. Lewą, zdrową ręką uderzała w poręcz wózka i przyłapała się na tym, że głośno go dopinguje.

Zdobył następne dwa punkty, rzucając i łapiąc tak, jakby nic innego nie robił przez całe życie. B.J. doskonale zdawała sobie sprawę, że o niebo przewyższa pozostałych graczy. Miał pewną siebie płynność ruchów prawdziwie utalentowanego sportowca. Niedocenionego sportowca...

Nagle Annie wybiegła z kościoła. Potknęła się na schodach i upadła, a gdy zaczęła wstawać, zatopiła twarz w dłoniach i rozplakała się.

Hamish Chandler zrobił wówczas rzecz nie do pomyślenia. Po prostu pozostawił w spokoju drugą bazę, podbiegł do płaczącej córeczki i utulił ją w ramionach.

- Hej, pastorze, gramy dalej? - zawołał ktoś z drużyny.
- Wykluczcie mnie chwilowo - odparł, odsuwając kosmyki włosów z twarzy płaczącej dziewczynki.

B.J. przyglądała się tej scenie z niemą zazdrością w oczach. Gdyby ona kiedykolwiek zachowała się tak w obecności swego ojca, w najlepszym razie nazwałby ją histeryczką.

Dwie kobiety podniosły się z ławek i podeszły do Hamisha. Annie oderwała na moment policzek od ojcowskiej koszuli

i zademonstrowała skaleczoną rękę. Jedna z kobiet pocałowała ją czule, a druga pogłaskała po głowie. B.J. pomyślała, że raczej zainteresowane są przystojnym wdowcem niż upadkiem dziecka.

Niebawem Hamish z Annie na rękę usiadł obok jej wózka. B.J. nie mogła oderwać myśli od własnego dzieciństwa. Jak potoczyłoby się jej życie, gdyby jej ojciec choć trochę przypominał Hamisha...? Te małe dziewczynki z pewnością mają szczęśliwe dzieciństwo, ale prawdopodobnie wyrosną na miękkie i słabe istoty, potrzebujące w życiu wsparcia, pomyślała.

A jednak, patrząc, jak Hamish przytula dziecko, sama miała ochotę oprzeć się na jego ramieniu...

Annie wyciągnęła rękę w stronę B.J., ale nagle odwróciła się, jakby przypominając sobie, że jej nie lubi.

- Billy mnie ugryzł - poskarżyła się ojcu.

Na delikatnej dziecięcej skórze widniały dwa różowe półkola - ślady po zębach.

- Niedobry Billy - powiedziała B.J i zwróciła się do Hamisha:
- Co zamierzasz zrobić?

- Porozmawiam z jego matką - odparł, śledząc wzrokiem grę na boisku.

- Nie wrócisz do gry? - rzuciła wyzywająco. - Drużyna cię potrzebuje. - Trudno jej było uwierzyć, że tak łatwo wycofał się z współzawodnictwa.

- Teraz nie. Annie mnie potrzebuje.

- Zrobisz z niej beksę - powiedziała, mimo że wcale w to nie wierzyła. Och, dlaczego jej w dzieciństwie poskapiono czułości...?

Powoli odwrócił ku niej głowę, a gdy spojrzała w jego-mie-bieskie oczy, zdumiał ją malujący się w nich smutek.

- Zamierzam nauczyć ją, że miłość i troska potrafią wszystko uleczyć oraz że przebaczenie nic nie kosztuje - powiedział z namysłem. - Co ty wiesz o miłości, Brendo?

Rozmowa o uczuciach ją przerażała.

- Nie jestem dzieckiem. Poza tym zawsze myślałam, że miłość to przesadne uczucie. - Ale w głębi serca wiedziała, doskonale wiedziała, że miał rację.

- Czy kiedyś kogoś kochałaś?

- Ojca... w pewnym sensie. - Odwróciła wzrok, ponieważ coś nagle ścisnęło ją za gardło.

- Będziemy więc musieli trochę nad tym popracować, nieprawdaż? - powiedział, z powrotem przenosząc wzrok na boisko.

Poczuła wstyd i strach zarazem, ponieważ dał jej do zrozumienia, że nie jest zdolna pojąć ani jego uczuć, ani wynikającego stąd postępowania. Czowała, że powinna z nim walczyć, polemizować, a tymczasem po prostu pragnęła, tak samo jak jego dzieci, rzucić mu się w ramiona. Był jedynym znanym jej mężczyzną, który budził ufność.

Okolo dziewiątej wraz z dziewczynkami i panią Billings opuściła towarzystwo. Hamish pozostał jeszcze, by dopilnować zakończenia uroczystości.

O pół do dziesiątej ciągle na niego czekała.

Wieczorne nabożeństwo, myślała. Kwadrans modłów i prawie dwie godziny zabawy. Co to za dziwny obrządek! Zamierzała go o»to zapytać.

Pani Billings ponagliła dziewczynki, by poszły do łóżek.

- Dobranoc, Brendo - powiedziała Emma, znikając za zakrętem schodów.

Pani Billings uśmiechnęła się do B.J. przepraszająco i po

dreptała za nimi na górę. Czyżby przepraszała za to, że dziewczynki ją zignorowały?

I w tym momencie doznała olśnienia. Prawdopodobnie słowo „dobranoc” kojarzyło się dziewczynkom z uściskami i pocałunkami. Takie bywały zwyczaje w wielu rodzinach... B.J. nigdy nie przywiązywała wagi do takich rytuałów.

Ale teraz poczuła dziwne ukłucie żalu, że Emma i Annie nie zdradziły chęci czulego pożegnania się z nią przed pójściem spać. Najwyraźniej jej nie lubiły, nawet pełna życia i ufności do świata Emma. B.J. nie potrafiła się z tym spokojnie pogodzić. Dzieci roztaczały wokół siebie atmosferę słodkiej niewinności, która ją niezwykle pociągała.

Kwadrans później pani Billings pojawiła się znów na dole.

- Z pewnością pastor zaraz wróci i zanieś cię na górę - powiedziała, przechylając się przez barierkę schodów. - Przepraszam, ale muszę się już położyć, bo jutro wcześniej wstaję.

- Oczywiście, dobrej nocy - odparła ciepło.

Okolo dziesiątej zaczęła niecierpliwie kręcić się na fotelu. Hamish nadal nie wracał. Przypomniała sobie kilka kobiet i mężczyzn, którzy go otoczyli, gdy inni wierni opuszczali zgromadzenie, i doszła do wniosku, że grupkę tę łączą przyjacielskie więzy. Pewnie pomogli mu posprzątać kościół, a potem udali się na drinka... albo raczej na kawę, poprawiła się szybko.

A jeśli jednej z kobiet Hamish wpadł w oko? - przyszło jej raptem do głowy. Przypomniała sobie, jak kiedyś powiedział, że myśli o małżeństwie... Wyobrazenie sobie Hamisha u boku innej kobiety dotknęło ją do żywego. Cóż, w obecnym stanie nie mogła konkurować ze zdrową kobietą. Czekwała teraz na niego bezradna, potrzebująca pomocy. Nawet nie potrafiła o własnych siłach wejść na górę... Do licha, przecież nie mogła

mieć pretensji! Miał wszelkie prawa zabawiać się w towarzystwie kobiety, która mogła zostać jego żoną.

Wrócił do domu kilka minut po dziesiątej. B.J. była tak wściekła, że nawet nie chciała nań spojrzeć. Martwy wzrok wbiła w ekran telewizora.

- Cześć! - powiedział takim tonem, jakby witał nowy dzień. Przysiadł na poręczu fotela. - Uff! - jęknął.

Uniosła mimo wszystko wzrok, ciekawa, co też wywołało taką reakcję.

- Mam kłopoty - powiedział, krzywiąc usta w półśmiechu. - Przepraszam za spóźnienie, ale rozumiesz... Życie pełnego poświęceń duchownego.

Mimo że czuła się zagniewana, musiała się lekko uśmiechnąć. Jego wygląd całkiem nie przystawał do przeciętnych wyobrażeń o pastora wiodącym żywot pełen poświęceń. Miał na sobie podkoszulek, przybrudzony od gry w piłkę, oraz pogniecione szorty koloru khaki, odsłaniające muskularne nogi. Kasztanowe włosy opadały w nieładzie na czoło, a na brodzie i policzkach rysował się cień zarostu. Jego niebieskie oczy, przypatrujące się jej teraz w skupieniu, świeciły jak dwie latarki.

Odwróciła się, mocno zakłopotana. Ku własnemu przerażeniu poczuła dreszcz podniecenia. Przymknęła oczy i wstrzymała oddech, by okiełznać ogarniające ją zmysłowe pożądanie. Nie znała dotąd takiego uczucia, dlatego nie wiedziała, jak sobie z nim poradzić.

- Brendo! - Głos jego dobiegał teraz gdzieś z przodu. Gdy otworzyła oczy, zdała sobie sprawę, że Hamish przykucnął przed nią i położył ręce na oparciu wózka. W jego oczach pojawił się niepokój. - Czy coś ci dolega?

Ciekawe, co by zrobił, gdyby poznał prawdę...? W tej chwili

po prostu pożerał ją wzrokiem. Widziała jego prosty nos, wystające kości policzkowe i lekko rozchylone usta, odsłaniające śnieżnobiałe zęby. Wyglądał niebywale uwodzicielsko... Czy zdawał sobie z tego sprawę? Czy zdawał sobie sprawę, że działał na nią jak narkotyk?

Prawie bezwiednie wyciągnęła rękę i delikatnie przyłożyła do jego policzka. Poczowała szorstki dotyk zarostu; przesunęła palce ku skroniom, potem ku gęstym, sztywnym włosom, które bez wątpienia wymagały już podcięcia. I wtedy, jakby mimo woli, wsunęła mu rękę za szyję i przyciągnęła jego twarz ku sobie.

Wiedziała, że jego usta będą chłodne i miękkie. I takie właśnie były. Wiedziała również, że dotyk jego warg rozbudzi jej apetyt na więcej...

Hamish objął dłońmi jej twarz, wargami jej usta, wprawiając ją w dziki zachwyt i oszołomienie. Nigdy jej się coś takiego nie przytrafiło. Nic nie przygotowało jej na zmysłową moc Hamisha Chandlera.

Gdy wsunęła dłoń pod jego podkoszulek i zaczęła przesuwać palcami po twardych, gładkich mięśniach klatki piersiowej, wyraźnie poczuła, że jego ciało na nią reaguje, radośnie wita jej pożądanie.

Mimo to Hamish przerwał pocałunek.

- Nie... - wyszeptał, odsuwając się lekko, choć nadal trzymał w dłoniach jej twarz. Poczowała ciepły powiew oddechu, gdy mówił. Jego twarz wyrażała namiętność i pożądanie, a jednak odsunął ją od siebie i lekko, lecz zdecydowanie, potrząsnął głową, tak jakby strzepywał z włosów kurz.

Minęła nieskończenie długa chwila, nim zmysły jej wróciły do równowagi, nim zdała sobie sprawę, co się stało. O Boże, co

ona najlepszego zrobiła? Chciała go uwieść jak nie licząca się z niczym... rozpustnica. Opuściła głowę ze wstydu, zażenowana swym zachowaniem. To była dla niej absolutna nowość; namiętność, pożądanie mężczyzny czyniło z niej istotę kruchą, miękką i bezradną - kobietę, jaką nigdy w życiu nie była.

- Czy udawałeś, że jestem prawdziwą kobietą? - powiedziała, z wysiłkiem nadając pytaniu żartobliwy ton.

- Nie udawałem. Jesteś jak najprawdziwszą kobietą, Brendo Jane.

Popowoli podniósł się z klęczek. Starła się zdobyć na uśmiech - uśmiech lekceważący całą sytuację, ale nie potrafiła. Mogła tylko patrzeć z podziwem, jak Hamish poskramia namiętność i odzyskuje nad sobą panowanie.

Wreszcie odwrócił się i odszedł kilka kroków, przeczesując dłonią włosy, a potem pocierając twarz, jakby właśnie się obudził. Obszedł stół dookoła i znów stanął przed jej wózkiem.

- Nie możemy dopuścić, by to się powtórzyło - powiedział, opadając nagle na kolana.

Te słowa ją zdeprymowały, odniosła bowiem wrażenie, że stara się wziąć na siebie całą winę. Chciała rzucić jakieś ostre słowo, ale z jej ust wydobył się jedynie szept.

- Wiem - powiedziała.

- Nie traktuję lekko... spraw intymnych, odkąd... odkąd Maralynn... - Wciągnął głęboko powietrze. - Ona była... - Ale nie dokończył.

Wiedziała dlaczego. Był zbyt subtelny, aby jej powiedzieć, że porównuje ją ze swą żoną. Tylko że ich w ogóle nie można było porównać. Były zbyt różne...

Popatrzył jej w oczy.

- Kiedyś wstydziłem się za siebie... - powiedział z ociągą

niem. - Nie od zawsze byłem pastorem. A szczerze mówiąc, w młodości w ogóle go nie przypominałem.

Tym szokującym wyznaniem o swej niejasnej przeszłości wprowadził B.J. w konsternację.

Bezwiednym gestem nawinał na palec luźny kosmyk jej włosów.

- Nauczyłem się zagłuszać w sobie poczucie winy, które odzywało się z powodu popełnionych błędów... błędów, które wprowadzały zamęt w życie innych ludzi. W końcu zrozumiałem, że przeszłość może być darem motywującym mnie do pomocy innym ludziom, którzy nie wiedzą, że zawsze mogą wybierać nową, inną drogę życiową. Nie ma znaczenia, jak zaczniemy, skąd pochodzimy, co robiliśmy w przeszłości. Zawsze mamy wybór. - Wolno dźwignął się z kłęczek. - Przed chwilą zapomniałem, kim jestem - przyznał. - Zapomniałem

0 Maralynn i o tym, czego nauczyło mnie nasze małżeństwo.

- A czego się nauczyłeś? - spytała po dłuższej chwili milczenia.

- Nauczyłem się, że gdy kocha się i szanuje kobietę, z którą się żyje, po następnym związku oczekuje się tego samego - odparł z powagą.

Poczuła nieprzyjemne ukłucie w sercu, wyciągając jedyny nasuwający się wniosek. A więc ona nie była warta miłości...

Jakby czytając w jej myślach, oparł ręce na poręczach wózka

1 powiedział zapalczywie:

- Nikogo nie oceniałem, Brendo. I dotyczy to tylko mnie. Ty zasługujesz na o wiele więcej... Nie jest tak, jak myślisz - mówił głębokim, przejętym głosem, pełnym wiary w wartości, które wyznawał. - Jesteś pierwszą kobietą od bardzo dawna, która wzbudziła moje pożądanie - oświadczył, wstając. - A te

raz, pozwól, że zaniosę cię na górę. I myślę, że obydwójce powinniśmy zapomnieć o tym, co się wydarzyło.

Gdy wziął ją na ręce i niósł po schodach, zamknęła oczy. Otworzyła je dopiero w sypialni, gdy ostrożnie posadził ją na brzegu łóżka.

- Mam nadzieję, że sobie poradzisz - powiedział jeszcze, wycofując się do drzwi. -I przepraszam za spóźnienie. To naprawdę zdarza się bardzo rzadko. Dobranoc, Brendo.

Z trudem rozebrała się i włożyła nocną koszulę przygotowaną przez panią Billings, a potem wsunęła się pod koc.

Sen długo nie nadchodził. Ciągle miała przed oczami wizerunek Hamisha - smukłego, pięknego mężczyzny o oczach niebieskich jak niebo, który odrzucił raz na zawsze demony przeszłości. I oto ona - nieznośny intruz, kobieta, której nie mógł zaakceptować - przypomniała mu o tej przeszłości, stanęła przed nim niczym ucieleśnienie niegdysiejszych pokus.

Wmawiała sobie, że nie pragnęła jego miłości i zarazem przekonywała siebie, że między nimi zrodził się jedynie pociąg seksualny, z prawdziwą miłością niewiele mający wspólnego.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Nazajutrz B.J. nie miała okazji powitać Hamisha dowcipnie i z werwą, tak jak sobie to postanowiła, od samego bowiem rana opiekę nad nią przejęła pani Billings.

Podczas kiedy Annie nieśmiało zerkiała zza drzwi, gotowa uciec w każdej chwili, pani Billings postawiła tacę ze śniadaniem na nocnym stoliku obok łóżka i zajęła się energicznym przeszukiwaniem szafy.

- Czas na kąpiel - oznajmiła radośnie. - Co chcesz dzisiaj włożyć? Pastor wróci za pół godziny i znieś cię na dół. A potem przyjedzie karetka.

B J. z sympatią popatrzyła na solidną, ciepłą i życzliwą ciotkę Debory. Już nie miała ochoty warczeć i robić niemiłych scen, jak na początku. Wytraciła cały impet złości i zniecierpliwienia. Doszła do wniosku, że pani Billings po prostu jest „przytulna”, a to wprowadzało w jej życie nowy, ożywczy element.

Przy pomocy gospodyni udało jej się umyć i ubrać. Siedziała u szczytu schodów, gdy dobiegł ją z dołu głos Hamisha.

- Medford i Tammy przychodzą dziś na kolację - powiedział do gospodyni. - Mam nadzieję, że zdążysz coś przygotować.

- Pieczonego kurczaka da się podzielić - odparła pogodnie kobieta.

Hamish wszedł na schody. Zatrzymał się na półpiętrze i spojrzął

z uśmiechem na B.J. Na nic zdały się jej zakłęcia i solenne postanowienie, że powita go jak gdyby nigdy nic. Z dnia na dzień wydawał jej się coraz przystojniejszy, a każdy jego uśmiech przypominał o pogodzie ducha i niespożytej witalności.

Bez wysiłku, jak zwykle, wziął ją na ręce, zniósł na dół i tam posadził na wózk. Dla utrzymania równowagi położyła mu rękę na ramieniu i czuła pod palcami twardość bicepsu. Mimo pozorów delikatności był potężnym mężczyzną.

- Chciałabym wiedzieć, pastorce Chandler - powiedziała, gdy już odwracał się, by odejść - co to za kościół, w którym wieczorna msza składa się z kwadransa modlitwy i prawie dwóch godzin zabawy? - To było wyzwanie; skrzyżowała ramiona na piersi i czekała na odpowiedź z wojowniczo wysuniętym podbródkiem.

Wydawał się zaskoczony, ale po chwili uśmiechnął się rozbijająco i odrzekł ze spokojem, który mógł doprowadzić do szału:

- Celem takiej mszy jest zbliżenie ludzi. Z początku w ogóle nie było modlitwy; po prostu spotykaliśmy się w sali ogólnej, piliśmy kawę i rozmawialiśmy. Potem ludzie zaczęli rozbijać się na grupy, tak jak na wielu przyjęciach; jedni rozmawiali, kobiety zajmowały się szyciem bądź haftowaniem, dzieci zabawą. Niektórzy grali w piłkę na dworze. I w końcu kilka osób wystąpiło z inicjatywą, by zaczynać nasze spotkanie krótką mszą. I wieczorne spotkania nabrały takiego charakteru, jak widziałas.

- Czy wszyscy tam obecni to członkowie twojej kongregacji? - spytała.

.Usiadł na brzegu kanapy, oparł łokcie na kolanach i złożył razem dłonie. Brązowe loki, zbyt długie już, wiły mu się na czole i wokół uszu.

- Większość tak - powiedział. - Ale goście są zawsze mile widziani. Nie prowadzimy rejestru naszych członków. Staram się przyciągnąć więcej młodzieży, ale być może osiągnąłbym większy sukces, gdyby piątkowe spotkania były przeznaczone wyłącznie dla nich. Medford zwołał na sobotę rano zebranie zarządu naszej kongregacji, by przedstawić pewne sugestie.

- To nie jest kościół! - zaprotestowała. - To wygląda jak instytucja opieki społecznej.

Roześmiał się cicho.

- To jest kościół, Brendo. Gromadzimy ponad sześćset rodzin. Ale być może jesteśmy zbyt staroświeccy... W sobotę po południu planujemy piknik z różnymi zawodami... wiesz: bieg z jajkiem na łyżce, wyścigi w workach. Wszystko, w czym mogą brać udział wspólnie rodzice i dzieci. Jesteś oczywiście zaproszona. Będziesz mogła spróbować sałatki z kartofli i orzechowego chleba. No i będzie również turniej koszykówki i ping-ponga. Potrafisz rzucać rzutkami do tarczy?

Przystojną twarz Hamisha rozjaśnił uśmiech tak szczerzy i rozbijający, że B.J. poczuła się pokonana.

- Jestem w tym znakomita - oświadczyła, nie kryjąc dumy.

- W takim razie weźmiesz udział w zawodach.

- Nigdy w życiu - broniła się.

- Nikt cię nie będzie zmuszać, byś się świetnie bawiła - odparł wesoło.

Nie mogła sobie przypomnieć, by kiedykolwiek ktoś traktował ją tak jak Hamish Chandler. W ogóle nie przypuszczała, że są na tym świecie ludzie tacy jak on - weseli i bezkonfliktowi, pełni ufności i wiary, tak jakby życie nadal toczyło się w ogrodach Edenu. Był głupcem - to się rzucało w oczy - miłym, porywającym i pobożnym, ale skończonym głupcem! Gdyby

nie napomknął o swojej ciemnej przeszłości, nazwałaby go nawiązanym aż do bólu.

Gdy wychodził, pani Billings podała mu torbę z lunchem.

- Kolacja o zwykłej porze?
- Będziemy z Medfordem w kościele do szóstej - odparł. -

Opracowujemy program edukacji młodzieży. -1 wyszedł.

Dom bez niego był jakiś pusty i cichy. B.J. słyszała tykanie zegara w jadalni i brzęk naczyń w zlewie.

Wjechała wózkami do kuchni. Annie siedziała przy stole, opierając podbródek na dłoniach. Jej duże, niebieskie oczy śledziły każdy ruch nowo przybyłej; usta miała zaciśnięte w ponurą linię,

- Medford to mąż Tammy, prawda? - spytała głośno. Pani

Billings mruknęła coś pod nosem, ponieważ zajęta była przeszukiwaniem zamrażarki.

- Uwielbiam mojego kurczaka - mówiła. - Gdzie ja go włożyłam. .. Wiem, że gdzieś tu powinien być.

- Co?

- Zamrożony kurczak.

B.J. zamilkła. Pieczonego kurczaka zwykle zamawiała ze sklepu. Przyglądanie się, jak pani Billings przygotowuje go w domu, będzie interesującą lekcją. Ona sama nie miała zielonego pojęcia o gotowaniu.

Gospodyni zamknęła drzwiczki zamrażarki.

- Muszę jeszcze sprawdzić w lodówce w piwnicy - powiedziała. - Zaczekaj tu, Annie.

Mała jednak potrząsnęła głową i pospiesznie zeskoczyła z krzesła.

- Nie! - Uczepiła się spódnicy pani Billings. - Idę z tobą.

- Po co masz schodzić po schodach? - przekonywała gospodyni. - To niebezpieczne.

- Chcę iść! - nalegała Annie, chwytając starszą kobietę za rąbek fartucha.

Pani Billings z zakłopotaniem popatrzyła na B.J.

- Ona boi się obcych - powiedziała, ale nie było to szczere wyjaśnienie.

B.J. wiedziała, że od czasu gdy wybuchła przy stole, dziewczynki czuły się w jej towarzystwie niezręcznie. Niemniej jednak starała się pomóc pani Billings.

- Zostań ze mną, Annie - powiedziała, ale mała chwyciła panią Billings za nogi i nie chciała puścić.

- W takim razie - kobieta spojrzała przepaszająco na B.J. - otworzymy drzwi do piwnicy, usiądziesz na najwyższym stopniu i będziesz obserwować, jak wyjmuję kurczaka z lodówki, zgoda?

Annie zgodziła się z niechęcią, po czym obie zniknęły za drzwiami do piwnicy.

B.J. wsłuchiwała się w stłumiony odgłos kroków gospodyni na drewnianych, stromych schodach. Rozejrzała się po kuchni, mrużąc oczy, jakby chciała wymazać z pamięci obraz dziecka, które tak przeraźliwie jej się bało. W jaki sposób dotrzeć do Annie...? Co zrobić, by zrozumiała, że ona nie jest wcale groźna?

Usłyszała wolne kroki i zdyszany oddech pani Billings, wspinającej się po schodach. Po chwili drzwi się otworzyły i gospodyni weszła do kuchni, trzymając oburącz zamrożony drób i lekko popychając przed sobą Annie.

- O której Emma wraca ze szkoły? - spytała B.J.

Annie szybko zajęła miejsce po drugiej stronie stołu i patrzyła na nią ponurym wzrokiem.

- Autobus przyjeżdża pod dom o trzeciej czterdzieści siedem - odparła gospodyni, zdejmując folię z kurczaka.

B.J. wjechała na ganek, by obserwować autobus. Przede wszystkim powinnam zdobyć zaufanie córek Hamisha, pomyślała stanowczo.

Gdy Emma wysiadła ze szkolnego autobusu na końcu podjazdu, zdumiała się na widok czekającej na nią Brendy.

- Podwieźć cię pod sam dom? - spytała ze śmiechem B.J. Emma szeroko otworzyła oczy, a-potem usta.

- Tym...?

- Siądź mi na kolanach i puścimy się pędem - zaproponowała. Wahanie Emmy trwało kilka sekund.

- A teraz naciśnij ten guzik - powiedziała B.J., gdy dziewczynka usadowiła się ostrożnie na jej kolanach.

Emma była oczarowana przejażdżką; rozpędzała się, hamowała gwałtownie i znów ruszała. Wreszcie udało jej się przejechać przez bramę i pokonać rampę prowadzącą na ganek. Gdy wjechały do kuchni, B.J. przede wszystkim zauważyła zaskoczenie w oczach Annie.

- Chcesz się przejechać, Annie? - spytała Emma, zeskakując na podłogę. - To wspiania zabawa!

Annie odruchowo postąpiła krok w przód, ale gdy spojrzała na B.J., zatrzymała się raptownie, potrząsając głową i sznurując usta.

Pochyliła się w stronę małej.

- Chciałabym cię przewieźć, Annie - powiedziała cicho, a widząc w oczach dziewczynki wyraźną walkę, dodała zachęcająco:

- Gdy będziesz chciała się przejechać, sama mi o tym powiesz, zgoda? Może później...?

Annie już miała skinąć głową, gdy raptem poderwała się i wybiegła za Emmą do jadalni.

Zасыpywanie rowów zajmie trochę czasu, pomyślała Brenda Jane. Ale nie zamierzała się poddawać.

Chwilę po szóstej pojawił się Hamish z małżeństwem Ban-tzów. Medford był ciemnym, kościstym mężczyzną, nosił wąsy, a na szyi miał czerwone ślady po goleniu. Gdy się uśmiechał nerwowo, wyraźnie poruszało mu się jabłko Adama. Mimo to pasował do jasnej karnacji i dziewczęcego wyglądu Tammy. Ale to ona była w tym związku wodzirejem, jak słusznie odgadła B.J.

- Witaj, Brendo - powiedział wielebny Medford Bantz, gdy ich sobie przedstawiono.

B.J. nie lubiła, by pochylano się nad nią, gdy siedziała na wózku, ale uśmiechnęła się przyjaźnie, obiecała bowiem Hami-showi poprawne zachowanie wobec gości.

- Co za szczęście, że pastor Chandler mógł cię zabrać do siebie - dodał Medford.

Zauważyła, że przez twarz Hamisha przebiegł nerwowy skurcz. Uwaga wielebnego Bantza była w najwyższym stopniu niewłaściwa. Podając mu rękę na powitanie, posłała Hamishowi znaczące spojrzenie. Miała nadzieję, że zrozumie, iż czynione przez nią afronty zawsze były celowe, ten zaś mężczyzna pokrywał złe maniery swą koloratką.

- Moje gorące modły zostały wysłuchane - powiedziała, potrząsając dłonią Bantza.

Hamish najpierw skrzywił usta, a potem nie wytrzymał i wybuchnął zaraźliwym śmiechem. Uśmiechnęli się wszyscy, ale tylko on - o tym doskonale wiedziała - śmiał się naprawdę.

Usiedli przy stole w jadalni, zastawionym dobrą, choć nieco już zużytą porcelaną. Emma wybrała krzesło obok niej, conie-zwykle ją ucieszyło.

Z rozmowy wynikało, że Medford przez cztery dni w tygodniu był kapelanem oddziału onkologicznego szpitala St. Paul. Poza tym asystował pastorowi przy niedzielnych mszach oraz zastępował go podczas wyjazdów. Brał także na siebie różne inne zobowiązania; ostatnio na przykład zajmował się organizacją programu dla młodzieży, który, jak zgodzili się obydwaj z Hamishem, był mocno spóźniony.

Po kolacji pani Billings zaprowadziła dzieci do salonu, Medford zaś i Hamish zamknęli się w gabinecie.

Tammy natychmiast, niczym prawdziwa gospodyni, zaczęła sprzątać ze stołu i zmywać naczynia. Widać było, że robiła to wiele razy przedtem. B.J. nie chciała jednak o nic pytać

- wolała nie rozmawiać o czasach, gdy panią tego domu była żona Hamisha. Słuchała natomiast z przyjemnością paplaniny Tammy, która opowiadała o swej pracy w pobliskiej szkole podstawowej.

- Przez dziesięć godzin w tygodniu pomagam nauczycielce - mówiła. - To nam pozwala związać koniec końcem. Och, tyle rzeczy chciałabym zrobić w kościele, ale po prostu nie mam czasu, a poza tym teraz nie mam tyle sił co przedtem.

B.J. z lekką zazdrością zauważyła, że Medford, ledwie wyszedł z gabinetu, od razu podszedł do żony. Zobaczyła, jak zapobiegliwie podsuwa jej krzesło, jak czule ściska za rękę. Wymienili uśmiechy wyraźnie świadczące o wzajemnym uczuciu. Odniosła wrażenie, że nikt poza nią nie zwrócił na te gesty uwagi.

Jakiś czas później, gdy żegnali się, Tammy lekko zadrżała i natychmiast promienny uśmiech rozjaśnił jej twarz. Medford odpowiedział tym samym i przyłożył otwartą dłoń do jej wystającego brzucha. To była chwila, w której świat wokół dla nich

nie istniał. Dopiero po chwili Tammy, jakby wracając do rzeczywistości, powiedziała do Hamisha:

- On się poruszył.

Hamish skinął uprzejmie głową i spojrzał ciepłym wzrokiem na swego asystenta.

- Nie do wiary - wymamrotał ten ostatni. - Mój syn. Mój własny syn!

B.J. ogarnął nagle dziwny niepokój; doznała oto uczuć, które nią wstrząsnęły. Gdy goście już wyszli, a Hamish wziął Annie na ręce, spojrzała mu prosto w oczy w zadumie. Co się z nią działo...? Była podniecona, a zarazem... pełna melancholii.

Po raz pierwszy w życiu B.J. Dolliver zetknęła się z prawdziwą kobiecością - po raz pierwszy zrozumiała, czym jest pełnia życia takich kobiet jak Tammy Bantz.

- Nigdy nie spotkałam ludzi, którzy tyle by się śmiali - powiedziała B.J. pewnego dnia.

- Uważasz, że przesadzamy? - spytał Hamish z szeroko otwartymi oczami, w których świeciły drwiące iskierki. - To wydaje ci się nienaturalne?

- Do diabła, Hamish, czy nigdy nie możesz być poważny? Jak na pastora jesteś zbyt mało uduchowiony!

- Och, czasami jestem, moja droga - odparł.

Ale ta odpowiedź jej nie satysfakcjonowała, jak wiele innych zresztą. Zwykle jego odpowiedzi były prowokacyjne i dziwnie nurtujące. Nadal tolerował jej drwiny i docinki i nadal wszystko pokrywał uśmiechem.

Ona zaś ciągle czekała, aż zgodnie ze swym kaznodziejskim powołaniem zacznie ją nawracać. Jak dotąd jednak czekała na próżno.

Życie w domu Hamisha wzbogaciło ją w wiele nowych doświadczeń. Przedtem niewiele przebywała w towarzystwie dzieci. Teraz Emma - urocza, rozmowna i tryskająca radością życia - całkowicie podbiła jej serce.

Annie nadal zachowywała się z dystansem i patrzyła na nią podejrzliwie. Ale B.J. nie traciła nadziei, że zdobędzie również i jej zaufanie.

Wielokrotnie żałowała, że nie ma kamery, by uwiecznić na filmie te dwie dziewczynki.

Pewnego dnia w domu pastora pojawił się przewodniczący kościelnego komitetu finansowego - kościsty mężczyzna około czterdziestki, o stanowczej szczęce, zapadniętych policzkach i przymrużonych podejrzliwie oczach. Pani Billings przedstawiła go jako Edsona Fordę.

Przechodząc przez salon, zatrzymał się i obrzucił niechętnym wzrokiem B.J.

- Nowy nabytek twojej rodziny, Hamish? - spytał ostro, mrużąc oczy tak mocno, że wyglądały jak szparki.

- To mój gość - poprawił go Hamish. - Panna Brenda Jane Dolliver.

- Czy ona płaci czynsz? - nie ustępował Edson Forda.

Po raz pierwszy B.J. zobaczyła Hamisha płonącego ze wstydu.

- Czy możemy porozmawiać o tym w moim gabinecie?

- Panna Brenda powinna to usłyszeć, pastorze. Jeśli kongregacja mają utrzymywać, a ona nawet nie jest jej członkiem...

- Zapłacę za pokój i wydatki związane z moim utrzymaniem - odparowała B.J.

Niski mężczyzna pokiwał głową.

- Czy już coś ta pani zapłaciła, pastorze? - naciskał.

- Nie oczekiwałem tego, co więcej, nie przyjąłbym żadnej zapłaty. - Hamish uniósł brwi; twarz mu stężała, a oczy przybrały wyraz twardy i nieustępliwy. - Ona jest moim gościem. Zaprosiłem ją.

- Panna Dolliver jest młoda, samotna i całkiem atrakcyjna - ciągnął Forda ze złośliwym uśmiechem, zadowolony, że wprawił pastora w zakłopotanie.

- Wystarczy, Edson! - Głos Hamisha stał się niski i rozkazujący. Oczy miał zimne jak stal, a twarz napiętą. - Poproszę cię do gabinetu!

- Może powinieneś zwolnić panią Billings - ciągnął Forda kpiącym tonem - i poszukać sobie żony. Potrzebna ci żona, Hamish.

Hamish w milczeniu, z zaciśniętą szczęką, opuścił pokój. Niski mężczyzna pędził niechętnie za nim.

Być może to było niestosowne, ale Brenda podjechała wózkiem pod drzwi gabinetu i usiłowała podsłuchiwać. I w pewnym momencie usłyszała podniesiony głos Hamisha:

- A więc zostawmy to tak, jak jest!

Odjechała od drzwi zaledwie kilka sekund, nim się otworzyły.

- Znajdę własne rozwiązanie - powiedział na odchodnym Edson Forda. Na widok B.J. zawahał się na moment.

Zauważyła, że teraz on miał twarz poczerwieniałą, a oczy mocno błyszczące.

- Dobranoc, Edson - pożegnał go Hamish i zamknął za nim drzwi wejściowe.

- To podły człowiek! - wybuchła B.J., gdy pastor wrócił do jadalni. - Kto mianował go na to stanowisko?

- Ja sam.

- Nie możesz go zwolnić?

- Mogę - odparł, wielkimi krokami zmierzając do swego gabinetu. - Ale on dobrze pracuje i stara się zminimalizować wydatki. Pracuje społecznie.

- On cię nienawidzi - odparowała, podążając za nim.

- Nie akceptuje mnie - poprawił ją. -1 ma do tego prawo.

Nadal uważam, że jest cennym członkiem naszej kongregacji.

Wjechała za nim do gabinetu.

- Mam pieniądze. Pozwól, że sama za siebie zapłacę.

- To nie jest konieczne. Zaprosiłem cię i jesteś moim gościem.

- Daj spokój z ambicjami! - Lekko podniosła głos. - Gdybym za siebie płaciła, czułabym się tutaj swobodniej.

Rozsiadł się z westchnieniem za biurkiem, wyciągając przed siebie długie nogi.

- Naprawdę nie mam ochoty na kolejną dyskusję - powiedział. - Porozmawiamy o tym kiedy indziej.

Znużony wyraz jego twarzy powstrzymał ją od kontynuowania sporu. Straciła ochotę do walki. Zamiast tego, podjechała doń tak blisko, że mogłaby objąć dłońmi jego piękną głowę. Jakże pragnęła wymazać znużenie z jego twarzy, wziąć go w ramiona, przytulić jego głowę do piersi. Chciała mu dać ukojenie i spokój.

W porę przypomniała sobie, że on by tego nie pochwalił. Nie chciał, by zbliżyli się do siebie...

- Robi się późno - powiedział stłumionym głosem. - Zaniosę cię na górę.

Po chwili wahania odwróciła wózek i podjechała pod schody. Hamish jak zwykle delikatnie wziął ją na ręce. Nim stanął na pierwszym stopniu, spojrzął w jej twarz i uśmiechnął się ze zmęczeniem.

Objęła go zdrową ręką za szyję i mocnymi, zwinnymi palcami zaczęła masować mu kark. Lekko przymknął oczy, odchylił głowę do tyłu i westchnął. Sprawiała mu przyjemność.

Po chwili otworzył oczy i wolno zaczął wchodzić po scho^ldach. W sypialni, zgodnie z codziennym rytuałem, posadził ją na łóżku. Ona jednak nie przerwała masażu szyi i ramion.

- Połóż się - szepnęła.

- Nie .powiniennem - powiedział, ale nie odchodził.

Zazwyczaj pani Billings pomagała jej przy wieczornej toalecie, ale tym razem było późno i gospodyni spała już w swoim pokoju.

- Proszę - powtórzyła. - Tak niewiele mogę dla ciebie zrobić. - Przyciągnęła go do siebie zdrową ręką, a on poddał się w końcu i wyciągnął na łóżku obok niej.

Wsunęła mu rękę za kołnierzyk i rozmasowywała twarde sploty jego mięśni z taką samą wprawą, z jaką czynili to masażyści w tenisowych klubach, w których grywała.

Hamish usnął; oddychał głęboko- a ona rozpaczliwie pragnęła go przy sobie zatrzymać, by nadal mogła go do woli dotykać. Wędrowała wolno dłonią po jego koszuli, po twardych mięśniach jego pleców, a potem w dół aż do paska u spodni. Był niezwykle przystojnym mężczyzną - silnym, smukłym i zmysłowym.

Wiedziała, że powinna go obudzić. Będzie przerażony, gdy zorientuje się, że zasnął w jej łóżku. Zamiast tego jednak, położyła się na plecach obok niego i przyglądała w zachwycie najpiękniejszej męskiej twarzy, jaką kiedykolwiek w życiu widziała. Podziwiała miedzianego koloru rzęsy leżące na opalonych policzkach, prosty, doskonale symetryczny nos i mały do-lęczek pomiędzy nosem a górną wargą. Lekko uchylone usta odsłaniały rząd równych, białych zębów.

Przekręciła się na bok i przysunęła bliżej, aż poczuła ciepło jego oddechu. A potem, jakby bezwiednie, dotknęła wargami jego ust. Przerwała pocałunek, gdy na chwilę wstrzymał oddech. Odchylił głowę do tyłu, ale nadal leżał na plecach. Gdy przytuliła głowę do jego twardego ramienia, poczuła nagle, jak jego dłoń zaciska się na jej szyi, a całe jego ciało twardnieje, jakby budziło się do życia. Znow przysunęła usta do jego warg i wtedy odpowiedział jej pocałunkiem nagłym, gwałtownym, przesyconym namiętnością, jakiej nie oczekiwała.

- Och, Brendo, Brendo... - jęknął, a potem znow zawładnął jej ustami z tak słodką namiętnością, jakiej się nie spodziewała; przekręcił się, a po chwili przygniótł ją swym potężnym ciałem do materaca.

Pragnęła go, jakże rozpaczliwie go zapragnęła...

- Pomóż mi przestać - prosił. Jego oddech, przyspieszony i urywany, omiótł jej twarz. - Pomóż... Nie pozwól mi...

Położyła mu palce na wargach.

- Ale ja nie chcę, żebyś przestał, Hamish - wyznała.

Jednak on nią wzgardził. Mimo że w oczach wielkimi literami miał wypisane pożądanie, wiedziała już, że wygrywa jego głupie sumienie, odrywając go od niej tak boleśnie, jakby był częścią jej ciała.

W następnej sekundzie już powstał i oddalał się od niej, oddychając głęboko i przeczesując palcami włosy. Przystanął i nogach łóżka, odwrócił się do niej twarzą, a ramiona oparł na kolumnach podtrzymujących baldachim. Przypominał wojownika, który stoczył właśnie walkę na śmierć i życie. Usta jego poruszały się tak, jakby usiłował coś powiedzieć, ale nie mógł wydobyć głosu. Wreszcie mocno potrząsnął głową i zamknął oczy.

Czyżby wspomniał żonę...? Czyżby za wszelką cenę chciał wymazać z pamięci BJ. - kobietę, którą wstyd było pamiętać?

Przekręciła się na bok i zwinęła w kłębek, podtrzymując łokieć chorej ręki. Nie mogła spojrzeć mu w twarz. Po raz pierwszy w życiu naprawdę szczerze zapragnęła mężczyzny i zaofiarowała mu siebie bez żadnych warunków.

Zrobiła z siebie idiotkę. Przecież otwarcie jej wyznał, że może pójść do łóżka tylko z kobietą, którą będzie kochać. To była dla niego kwestia zasad.

A Hamish Chandler, czego się już nauczyła, był człowiekiem z zasadami. I fakt, że go podniecała fizycznie - nie miał tu wielkiego znaczenia...

Nie była warta miłości.

Znów nie była wystarczająco dobra.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

B.J. leżała w łóżku, obserwując, jak pierwsze promienie wschodzącego słońca pojawiają się nad horyzontem. Z wysiłkiem usiadła i zaczęła gimnastykować palce prawej ręki, tak jak to robiła każdego poranka. Potem unosiła, zginała i opuszczała prawe ramię, masowała palce u stóp i udo prawej nogi. Wreszcie stanęła obok łóżka, przerzucając ciężar ciała na lewą nogę.

Po tym, co się wydarzyło, Hamish na pewno będzie ją nakłaniał do wyjazdu. Ale nie zamierzała dać się przekonać. Mimo że została odtrącona, gniew - silniejszy niż ból - popychał ją do walki. Postanowiła walczyć i wygrać.

Całe jej życie było walką, odkąd po raz pierwszy ojciec ją zlekceważył, ponieważ nie była chłopcem. „Dziewczynki nie potrafią grać w baseball - powiedział. - Jesteś beznadziejna. Rzucasz jak dziewczyna”.

Miała wówczas dziewięć lat. Patrzyła, jak odchodzi rozczarowany i zły. Cóż, nie mogła przemienić się w chłopca, ale z pewnością mogła nauczyć się rzucać piłką tak jak oni. Otarła łzy i tak długo kręciła się po jego sklepie na przedmieściu Chicago, aż pojawił się tam jeden z graczy. Uczepiła się jego rękawa i poprosiła, by nauczył ją rzucać piłką.

Charlie - bo tak się nazywał - zabrał ją do parku i udzielił lekcji. Ramię po każdym treningu bolało jak diabli, ale robiła postępy i pewnego dnia mogła ojcu zaimponować.

Jej życie składało się z kolejnych bitew. Sekret polegał na tym, aby nie godzić się z porażką. Nigdy się nie poddawać. Należało być silnym.

W głębi duszy wiedziała, że nie jest dokładnie takim dzieckiem, jakiego pragnął jej ojciec, ale walczyła o to, żeby się nie dowiedział. Walczyła każdego dnia, żeby zrobić na nim wrażenie. To był swoisty sposób na życie.

Tak samo walczyła ze swymi wydawcami o zlecenia, z grafikami o najlepsze miejsce dla swoich fotografii. Walczyła z trenerami tenisa, by osiągnąć maksimum.

Stała teraz w milczeniu i przyglądała się drodze do drzwi. Jakże pragnęła choćby na pięć minut pozbyć się tej dręczącej niepewności i zrobić bodaj pięć samodzielnych kroków.

Wspierając się na lewej nodze, usiadła na dywanie i prze-czołgała do łazienki, a potem do szafy, gdzie opierając się o toaletkę, sięgnęła po ubranie. Ubierała się dość nieporadnie, ponieważ zwykle pomagała jej w tym pani Billings.

Tego ranka czuła, jak wstępują w nią nowe siły. Ubrana wcześniej niż pozostali domownicy, prze-czołgała się po podłodze do schodów i chwyciła barierkę. Spojrzała w dół; widok nie był zachęcający. Gdyby się poślizgnęła, gdyby puściła barierkę... Nie, tego nie zrobi. Potrafi ostrożnie i z rozwagą pokonać każdy stopień, tak jakby to było oddzielne przedsięwzięcie.

Miała wrażenie, że trwa to wiecznie. Gdy dotarła na dół, była wykończona i cała spocona. Czas jakiś leżała na plecach, by odzyskać siły. Wreszcie podciągnęła się do stojącej pozycji. Wózek stał przy schodach; przysunęła go i ustawiła w taki sposób, by mogła na niego opaść. Uff! Odniosła zwycięstwo. -

W kuchni zaparzyła kawę i zrobiła grzanki. Kończyła już

śniadanie, gdy Hamish wyszedł z gabinetu, na bosaka, w luźno przewiązonym szlafroku.

- Jak się tu dostałaś? - zamrugał oczami na widok BJ.

- Na latającym dywanie - odparła, popijając kawę i unikając widoku jego odsłoniętej klatki piersiowej.

- Ale jak...? - Patrzył na nią badawczo.

- Odpowiedniejszym pytaniem byłoby „dlaczego”, Hamish. Spytaj mnie: dlaczego?

- Więc dlaczego? - Odsunął krzesło i usiadł przy stole. Nadal przyglądał jej się podejrzliwie; jego gęste kasztanowe włosy sterczały we wszystkich kierunkach.

Starła się nań nie patrzeć. Czowała jego zapach; czuła ciepło od niego bijące, tak jakby obudziła się obok niego...

- Z powodu wczorajszej nocy - powiedziała ochrypłym głosem. - Z powodu tego, co się wydarzyło.

- Przepraszam cię, Brendo. - Przetarł dłońmi oczy, potem całą twarz. - Przyjmij moje przeprosiny. - Głos mu się lekko załamał przy ostatnim słowie.

- Ależ, Hamish, nie masz za co przeproszać - powiedziała zgodnie z uprzednio zaplanowanym scenariuszem. - To wszystko moja wina. Straciłam zdrowy rozsądek i... cóż, sprawy wymknęły mi się z rąk. Biorę całą odpowiedzialność za próbę niezamierzonego uwiedzenia cię. - Obserwowała grę emocji na jego twarzy; niedowierzanie, zmieszanie, frustrację. - To już się nie powtórzy - obiecała, chwytając go za ramię, tak jakby nie słuchał jej wystarczająco uważnie.

Miał zaciśnięte usta i twardy wyraz w oczach.

- Z pewnością nie - powiedział.

- Hamish! - krzyknęła. - Nie możesz mnie odesłać!

- Nie mogę pozwolić ci tu zostać - powiedział szeptem,

zaciskając ciepłą dłoń na jej rękę. Głos jego brzmiał współczująco.

- Nie jesteś ze mną bezpieczna, Brendo.

- To śmieszne! - wybuchła. - Jak w ogóle mogłeś o tym pomyśleć? - Desperacko pragnęła wygrać tę zasadniczą rundę, mimo że wysiłki wydawały się rozpaczliwe. - Zwłaszcza teraz, gdy nauczyłam się już pokonywać schody i nie będziesz mnie musiał nosić! Nie będziesz musiał mnie dotykać. Wszystko się zmieniło. Z pewnością to rozumiesz, Hamish? Nie możesz mnie wyrzucić teraz, gdy robię postępy!

Miała nadzieję, że przekona go ostrym tonem głosu; obserwowała, jak lekko drga mu szczeka, gdy usiłował skupić myśli.

Po nieskończeniu długiej chwili odsunął się od stołu i powiedział z wahaniem:

- Zobaczymy. Muszę najpierw porozmawiać z doktorem Wahlerem.

Walcząc z chaosem myśli, opadła na krzesło i przykryła lewą dłonią oczy.

- Nie groź mi, Hamish - wydusiła gdzieś z głębi piersi. - Spójrz na mnie. Sama zesłam na dół. I sama potrafię wejść.

Gdy podniosła wzrok, stwierdziła, że twarz miał nieprzeniknioną. Pierwszy raz odczuła potęgę jego wewnętrznej siły.

Atak zawsze był jej mocną stroną i naturalną reakcją na strach. Ale widocznie zapomniała, że Hamish należał do mężczyzn dojrzałych emocjonalnie i histeryczną złością nic z nim nie wskóra. Serce zabiło jej szybciej, gdy zdała sobie sprawę ze stawki, o jaką walczy. Nie chodziło tylko o wygraną. Tym razem chodziło o coś znacznie więcej - o coś tak niezbędnego jak powietrze.

Nagle wstał od stołu.

- Zobaczymy - powiedział i skierował się na górę do łazienki. Siedziała w ponurej ciszy, rozmyślając. Czy już podjął de

czyję? Czy postanowił ją odesłać? Nie wiedzieć czemu ta myśl wprawiała ją w przerażenie.

Kilka minut później pani Billings głośno pochwaliła ją za poranny wyczyn, Emma zaś nalegała, by B.J. pokazała im tę sztukę. Obiecała, że zrobi to wieczorem, jak będzie szła spać.

Przy śniadaniu uważnie słuchała, jak Hamish opowiadał o swoich planach na dzisiejszy dzień. Zazwyczaj nie przywiązywała do tego zbytnej uwagi. Potem obserwowала, jak żegna się z dziewczynkami i zaleca im, by dobrze opiekowały się panią Billings i Brendą Jane. Wreszcie patrzyła za nim, jak długimi krokami przemierza podjazd i drogę.

Gdy wskazówki zegara dochodziły do dziesiątej, oświadczyła pani Billings, że pojedzie sama do kościoła. Wiedziała, że Hamish o tej porze ma zebranie, ale chciała sprawdzić swą odwagę i po raz pierwszy dotrzeć do kościoła samodzielnie. Pani Billings nie była zachwycona pomysłem, ale nie próbowała jej powstrzymywać.

B.J. skorzystała z rampy, którą Hamish zainstalował przy tylnym wejściu i zjechała za jej pomocą na dwór, nim gospodyni zmieniła zdanie. Z początku czuła strach przed samodzielnym przekroczeniem ulicy, ale opanowała się i pojechała wyziwianą drogą do kościoła, słysząc jedynie szelest suchych liści na gałęziach drzew i szum silnika swego pojazdu.

To było jak najprawdziwsza przygoda! Roześmiała się do własnych myśli, wdychając głęboko cierpki zapach wilgotnego, zimnego powietrza. Trochę kłopotu sprawiły jej dopiero masywne drzwi kościoła, ale w końcu udało się je otworzyć i wjechała do przedsionka. Zatrzymała się przy otwartych podwójnych drzwiach prowadzących do głównej nawy.

Zauważyła Hamisha klęczącego przy stopniach ołtarza; miał

pochyloną nisko głowę i łokcie oparte o barierkę. Na ten widok ścisnęło jej się serce - na widok mężczyzny, który trzymał teraz jej przyszłość w swoich dłoniach... Na widok pobożnego pastora, którego miłość do dzieci była tak głęboka i szczerza jak jego moralne zasady...

Nie mogła wyobrazić sobie swego ojca podczas modlitwy; znała zaledwie kilku mężczyzn, którzy mieli wystarczająco dużo odwagi, by modlić się publicznie. Hamish Chandler był nie tylko odważny i uczciwy, ale zarazem pełen pokory i radości życia. Gdy patrzyła, jak modlił się w samotności przed ołtarzem swego kościoła, zrozumiała, że go podziwia i darzy bezgranicznym zaufaniem. Jakże wiele dla niej znaczył ten prostolinijny, skromny mężczyzna! Ta myśl przyprawiła ją o strach.

Pastor podniósł się z klęczek i przez chwilę trwał w ciszy. Gdy odchodził od ołtarza, rozejrzał się po kościele. I nagle zamarł w miejscu na widok B.J.

Walczyła ze łzami, które zaczęły szczypać ją w oczy. Walczyła z nimi, ponieważ były oznaką słabości - a ona nigdy nie chciała się do niej przyznać.

Hamish zmienił kierunek i zaczął iść w jej stronę - potężny, męski, pełen nieodpartego wdzięku.

Miał na sobie koloratkę - sztywną, białą, wyłaniającą się spod brązowej koszuli i tweedowego blezera. To był jego strój do pracy, tak samo jak garnitur dla biznesmena.

Spotkali się w połowie nawy. Gdy stanął przed nią i wyszeptał zdziwiony jej imię, zadrżała i nagle osunęła się na kolana. Próbowała stanąć, próbowała coś powiedzieć - ale straciła wolę walki i poddała się łzom i własnej słabości.

- Ależ... Brendo, nie. - Wypowiedział te słowa z wielką czułością, chwytając ją pod pachy i podnosząc do góry.

Usiadła z powrotem na piętach i pochyliła głowę. Nie zdawała sobie sprawy, że ukląkł przed nią. Poczowała ostry ból biegnący od prawego kolana do uszkodzonej miednicy, ale go zignorowała.

- Brendo... - błagał urywanym głosem, podtrzymując ją przed sobą. - Brendo, co się stało?

Opuściła głowę jeszcze niżej i łkała teraz w sposób nie kontrolowany. Podniósł ją do góry i wziął w ramiona.

- Nie odsyłaj mnie... - łkała.

- Nie mogę cię odesłać - wyszeptał wtulony w jej włosy. - Wiem, że powinienem, ale nie mogę. Nie wiem, dlaczego pojawiłaś się w moim życiu, ale musi być jakiś nadrzędny cel... może po to, by mi przypomnieć, że jestem tylko mężczyzną podatnym na różne słabości. A może po to, bym zrozumiał, że powinienem się ponownie ożenić? Już postanowiłem, Brendo Jane, że gdy tylko wykurujesz się na tyle, by dać sobie radę sama, zacznę szukać sobie żony... Nie odeślę cię. Zamierzam opiekować się tobą aż do chwili, gdy będziesz mogła samodzielnie dawać sobie radę. Nie wiem, dlaczego to robię, ale po prostu wydaje mi się to słuszne i jedyne możliwe rozwiązanie.

Słowa te podziały na jej duszę jak balsam; znów poczuła ucisk w sercu. Była przerażona faktem, że straciła nad sobą kontrolę. Wytarła nos w chusteczkę, którą podał jej Hamish. Była całkowicie pozbawiona energii i nie mogła zebrać myśli.

Po raz pierwszy w życiu poddała się, złożyła broń... Ale, o dziwo, nie czuła z tego powodu żalu. Och, to w ogóle nie miało sensu.

- Dziękuję - wyjąkała, zasłaniając twarz chusteczką i przy tym mocząc ją całkowicie.

Hamish znów chwycił ją w ramiona.

- Dobrze się czujesz? - spytał. - Mam umówione spotkanie z panią Deaton, na które muszę już iść... lub raczej miałem umówione dziesięć minut temu...

- Nadal je masz, pastorze - rozległ się w przedśionku wysoki głos. - Co to za przedstawienie...?

B.J. usłyszała stłumiony odgłos ciężkich kroków, a potem zobaczyła panią Deaton we własnej osobie. Spojrzała przepraszająco na Hamisha i zauważyła na jego brązowej koszuli mokre plamy.

- Dzień dobry - ukłonił się nadchodzącej kobiecie.

Pani Deaton przyglądała im się, nie kryjąc ciekawości, małymi podkrążonymi oczami, które otaczała sieć drobnych zmarszczek. Miała na sobie niemodny kostium w biały tenis, a dużą torebkę przyciskała tak mocno do brzucha, jakby nosiła w niej złoto.

Hamish otarł dłonią zbłąkaną łzę, a potem uśmiechnął się do pani Deaton.

- To mój gość, Brenda Jane Dolliver - powiedział. - Pani Deaton jest przewodniczącą naszego komitetu budowlanego oraz nadzoruje długofalowe inwestycje.

- A więc to jest owa sławna osoba - oświadczyła starsza kobieta. Głos miała ostry i władczy. - W niezbyt dobrej kondycji, jak widzę.

- Ma dziś zły dzień - odparł Hamish. - Ale robi ogromne postępy. Na przykład już sama stoi. - Uśmiechnął się do B.J. tak łagodnie, że serce jej szybciej zabiło.

- Z pomocą, jak widzę - skomentowała złośliwie pani Deaton. - Cóż, to dobrze nie wygląda... Ładna, młoda kobieta, całkowicie od ciebie zależna. Całe szczęście, że to ja tu byłam, a nie stary Edson Forda.

B J. poczuła, że się rumieni, Hamish zaś uśmiechnął się bez-trosko i skonstatował:

- Z pewnością zrobiliby z igły widły.

- Nie on jeden przywiązuje wagę do pozorów - burknęła pani Deaton. - Z pewnością uważa, że panna Dolliver może ci przeszkodzić w znalezieniu odpowiedniej żony. - Baczenie przyglądała się B.J., zatrzymując wzrok na małej bliźnie na jej policzku.

- To nieprawda! - powiedziała z błyskiem w oczach B.J. -

Pastor właśnie szuka żony. Rozmawialiśmy o tym któregoś dnia. . . I z pewnością ją znajdzie... Kobiętę o gładkiej twarzy i ze sprawnymi nogami, - Rozumiem. - Pani Deaton najpierw uniosła brwi, a potem puściła oko do Brendy, jakby dzieliła z nią jakieś sekret. A może B.J. tylko się tak zdawało? - Czekam w kancelarii - zwróciła się do Hamisha. - Pospiesz się, proszę.

- Ona nie jest wcale taka zła - szepnęła Hamish, gdy kobieta wreszcie się oddaliła.

-v- Naprawdę czuję się już dobrze - powiedziała B.J. z nienaturalną werwą. - Możesz już iść. I dzięki za wsparcie... Czy mógłbyś przysunąć mi wózek?

- Wszystko się dobrze ułoży, Brendo - pocieszył ją. - Zobaczysz. Wyjeżdżając stąd, na pewno będziesz już chodzić o kulach. A to - dodał, przesuwał palcem po gojącej się bliźnie - zauważam dopiero wówczas, gdy ktoś inny mi przypomni... Ta bliźna dodaje ci charakteru.

Przytulił ją znów do piersi. Czowała pod policzkiem szorstki tweed jego marynarki i słyszała walenie jego serca o żebra.

- Jeśli chcesz poczekać, odprowadzę cię do domu, gdy porozmawiam z panią Deaton. Niepokoję się, jak sama wrócisz.

- Poradzę sobie. Muszę się przyzwyczajać do samodzielnego dawania sobie rady.

- Jeszcze nie, Brendo Jane - powiedział, mocniej tuląc ją do piersi. - Masz jeszcze trochę czasu.

Nim dotarła do drzwi, wyrosła przed nią Tammy.

- Och, Brenda! Dobrze się czujesz? Może napijesz się u nas kawy? Mamy w kuchni świeżo zaparzoną... - Nim Brenda zdążyła podziękować, dodała zachęcająco: - Bardzo proszę.

Chwilę później siedziała za stołem, przyglądając się różnym ludziom wchodzącym i wychodzącym z kuchni.

- Co oni tutaj robią? - zwróciła się po cichu do Tammy.

- Ten mężczyzna, który właśnie wyszedł - wyjaśniła Tammy - to emerytowany przedsiębiorca budowlany, który sprawdza nasz system grzewczy. A kobieta, która nalala sobie kawy, straciła męża, daliśmy jej więc pracę przy organizacji programu dla młodzieży.

- Przypominam sobie - wtrąciła B.J. - Medford jest jednym z organizatorów tego programu, prawda?

Twarz Tammy wyjaśniała.

- Ma bardzo napięty plan zajęć. Ale bardzo je lubi. Czekamy zresztą na swój własny kościół...

- Masz na myśli... przejęcie tego kościoła? - zapytała B.J., nagle widząc zagrożenie dla przyszłości Hamisha.

- Raczej nie - odparła spokojnie Tammy. - Z początku na to wyglądało... Władze naszego kościoła i nasi parafianie... Rozumiesz, to bardzo ważne, żeby pastor miał żonę. Gdy Ma-ralynn się rozchorowała, zauważono, że Hamish potrzebuje pomocy. Niektórzy uważali, że powinien odejść. Ale ostatecznie wypadki potoczyły się inaczej.

- To naprawdę takie ważne, żeby Hamish znalazł sobie-żo-nę? - B.J. poczuła przypływ zainteresowania.

- Bardzo - odparła Tammy, popijając kawę. - Ale to dla niego trudna decyzja. Maralynn była doskonałą żoną. Och, sama się dużo od niej nauczyłam.

- Do... do... skonała? - B.J. się zająknęła.

- Można tak powiedzieć. Nawet gdy była już bardzo chora, nadal podtrzymywała go na duchu, zajmowała się dziećmi i miała dużo cierpliwości do ludzi. Była niezwykle delikatną kobietą... doskonałą żoną dla pastora. Cicha, przyjacielska, chętnie pomagająca innym. I świetnie gotowała. Byłyśmy naprawdę zaprzyjaźnione. Ciągłe mi jej brakuje. Byłaby szczęśliwa, wiedząc, że jestem w ciąży. - Poklepała swój wydatny brzuch.

BJ. poczuła ostry, przeszywający ból w sercu.

- Oczywiście - ciągnęła Tammy z trochę zagadkowym uśmiechem - ona była niezwykle poważną osobą. Śmiech wprawiał ją w zakłopotanie.

- Naprawdę? - zdziwiła się B.J.

- Jedyna rzecz, która ją nieco razila u Hamisha, to jego... niesforność. Chciała także, by dziewczynki były zawsze poważne. - Tammy pochyliła się ku B.J. i zachichotała. - Myślę, że z Emmą jej się nie całkiem udało, nieprawdaż?

- Chyba tak. - B.J. słyszała swój nierówny oddech. - Emma jest bardzo podobna do ojca.

- No, chyba powinnam zabrać się wreszcie do pracy. Mickey Kostavich jak zwykle odpowiada za świąteczną szopkę, ale jej matka właśnie miała wylew, i być może w tym roku Mickey nie będzie mogła poświęcić tyle czasu co zawsze...

- Świąteczna szopka? - wtrąciła zdziwiona B.J. - Dopiero koniec października!

Myślmy o szopce przez cały rok, Brendo - powiedziała Tammy, dopijając kawę i podnosząc się z krzesła. - Bardzo dłu

go trwają przygotowania. Pastor nas do tego zachęca, zachęca zresztą do wszystkiego, co spaja rodzinę.

- Jak myślisz - spytała BJ. z coraz szybciej bijącym sercem
- co się stanie, jeśli Hamish szybko się nie ożeni?
- Ależ z pewnością to zrobi - odparła z przekonaniem Tam-my. - Zdaje sobie sprawę z powagi sytuacji.

Czy naprawdę istniało realne niebezpieczeństwo, że Hamish utraci swoją posiadłość, jeśli się w porę nie ożeni? - rozmyślała B.J., w drodze powrotnej do domu. Czuła teraz przenikliwie, jesienne zimno. Wysuszone, pożółkłe liście wyścielające chodnik, szeleściły pod kołami wózka.

Gdy wjechała po rampie na ganek, a potem do kuchni, poczuła się dziwnie wzruszona i odprężona. Rozejrzała się po dużej, starej kuchni, chłonąc jej ciepło, szorstkie, ale niezwykle krzepiące - jak dotyk tweedu na policzku.

- Na lunch będzie sałatka z kurczaka oraz zupa jarzynowa
- poinformowała ją pani Billings.

BJ. z uwagą przyglądała się, jak gospodyni nakłada na chleb grubą warstwę sałatki, na wierzch kładzie liść sałaty, a całość przykrywa kolejną kromką.

- Mogłabym pomóc? - spytała trochę nieśmiało.
- Oczywiście, to miło z twojej strony - odparła z uśmiechem starsza kobieta. - Przynęć ci bliżej talerz, będziesz mogła łatwiej sięgnąć.

Gdy BJ. spojrzała po chwili na stos kanapek na talerzu, uwierzyła, że powinna należeć do tej rodziny - powinna być tu kimś więcej niż gościem wymagającym obsługi. Poczula dziwną potrzebę, by ją zaakceptowano, polubiono...

Spędzała teraz więcej czasu z dziewczynkami, choć Annie nadal chowała się za Emmą. Czytała im bajki, organizowała

różne zabawy, a trzy dni później uczestniczyła w ogólnym podnieceniu z powodu narodzin kociaków.

- Wyobrażacie sobie, nasza kotka jest znów chuda! - Emma z oczami okrągłymi jak spodki wbiegła przez tylne drzwi do domu. Annie podążyła za nią z oczami błyszczącymi radością.

- Poszłaś za nią, żeby sprawdzić, gdzie są małe? - spytała pani Billings.

Emma nagle przystanąła i otworzyła ze zdumienia usta.

- Och, nie... - wyjąkała. - Nie wiem, gdzie one są.

- Czasami kocice chowają swoje dzieci - wyjaśniła gospodyni. - Trzeba pójść za matką, żeby je znaleźć.

Emma i Annie wymieniły znaczące spojrzenia, po czym wybiegły na dwór.

- Pomogę im - powiedziała B.J. Przejeżdżając obok pani Billings, popatrzyła na swą prawą dłoń leżącą na oparciu wózka, a potem uniosła ją razem z przedramieniem lekko do góry i poruszyła palcami.

- Z dnia na dzień czujesz się coraz lepiej - skomentowała z uśmiechem gospodyni.

To był dobry dzień. B.J. zjechała szybko po rampie i pomknęła prosto do ogrodu, skąd dobiegały okrzyki dziewczynek. Wcześniej tego dnia załatwiła kilka istotnych spraw. Przede wszystkim ustaliła, że będzie kontynuować rehabilitację w położonym niedaleko ośrodku White Bear Lake, trzy razy w tygodniu, i w tym celu postanowiła kupić samochód. Po drugie, wysłała czek z pierwszą ratą czynszu do skarbnika kościelnego oraz list, w którym prosiła, by więcej nie nagabywano pastora Chandlera w tej sprawie. Poprosiła pana Fordę, by w przypadku jakichkolwiek problemów kontaktował się z nią osobiście.

Hamish był ciepły i przyjacielski, ale od czasu pełnej emocji sceny w kościele, zachowywał wyraźną rezerwę. Gdy wieczorem widywała go przy kolacji, czuła w sercu głęboki ból - tak, jakby utraciła część siebie. Nie mogła tego zrozumieć.

Piski Emmy dobiegały teraz z garażu. B.J. z pewną trudnością pokonała drzwi. Zobaczyła dziewczynki stłoczone na wąskich, podobnych do drabiny, schodkach biegnących na górę. Stopnie miały najwyżej siedem centymetrów głębokości, a pomiędzy nimi była spora, otwarta przestrzeń.

Z zapartym oddechem patrzyła, jak dziewczynki wspinają się na górę. Ale z pewnością nieraz to już robiły, ponieważ poruszały się sprawnie i z dużą pewnością siebie. Zaczęła się zastanawiać, jak sama mogłaby pokonać schodki. Po chwili dziewczynki zniknęły i słyszała już tylko ich czułe piski i pieszczotliwe gruchania, gdy zwracały się do kocich niemowląt.

- Hej, Emmo, Annie! - zawołała. - Ja też chcę je zobaczyć. W wąskim otworze pojawiła się głowa Emmy.
- Mam ci je znieść na dół? - spytała z ożywieniem.
- Ile ich jest?
- Mnóstwo!
- Chcę wejść na górę - powiedziała bardzo stanowczo B.J. - Zejdź i pomóż mi się wdrapać.

Emma wolno zeszła na dół i wyciągnęła rękę do B.J., ta zaś podciągnęła się i usiadła bokiem na pierwszym stopniu. Gdy Emma pomagała jej pokonywać kolejne stopnie, obie zanosily się ze śmiechu. Bardzo wolno i bardzo ostrożnie B.J. wreszcie wspięła się na samą górę. Uff! A wydawało się, że schody w domu były trudne do pokonania!

Na strychu podczołgała się do kociaków umieszczonych na kawałku podartego ręcznika. Ależ to było widowisko! Maleńkie

futrzanę kuleczki tuliły się do siebie i wierciły. Było ich sześć

- pięć czarno-białych, tylko jeden szary.

Oczarowana w nie mniejszym stopniu niż dziewczynki, zaczęła się zastanawiać, jak to się stało, że w dzieciństwie ominęły ją takie przyjemności.

Dopiero gdy dziewczynki usłyszały głos Hamisha, opuściły posterunek przy kociakach. B.J. została sama. Zrazu poczuła się opuszczona, ale z drugiej strony była wdzięczna, że nikt nie będzie świadkiem jej niezdamnych wysiłków przy schodzeniu w dół.

Gdy usiadła na wąskim stopniu schodów, usłyszała trzask zamykanych drzwi domu i dudnienie kroków mężczyzny zbiegającego po rampie. Wracał po nią! Kiedy spojrzała w dół i zobaczyła jego potężną sylwetkę na tle otwartych drzwi, nieznacznie zwolniła uchwyt na stopniu na wysokości swych bioder. I nagle biodro zsunęło się ze stopnia, a jednocześnie nie zdołała chwycić stopnia poniżej. Zgięła kolano, aby czymkolwiek przytrzymać się schodów, ale to niewiele pomogło. Spadała w dół i w dół...

Hamish zdążył ją złapać w ostatniej chwili - lub prawie zdążył. Razem przewrócili się na zakurzoną betonową podłogę i po niej przeturlali. Gdy znieruchomieli, okazało się, że leży na jego piersi. Spojrzała mu w twarz.

-, Nic ci nie jest?

- Nigdy więcej tego nie rób! - Oczy pały mu złością. Uniósł głowę, a potem odepchnął ostrożnie B.J. na bok i usiadł.

- Gdzie masz rozum, kobieto?

Gdy strzepywał siano i kurz z jej ubrania, weszły dziewczynki.

- Spadłaś? - spytała Emma.

- Pojawiłem się na czas - wtrącił Hamish. - Prawie na czas.

- Nie złość się, tato. Pomogłyśmy jej wejść po schodach. - Emma zdejmowała z pleców B.J. źdźbła trawy. - Zapomniałyśmy o tobie na chwilę - wyznała z zakłopotaniem. - Tata wrócił do domu... i zapomnieliśmy, że nie potrafisz zejść.

B.J. popatrzyła na Hamisha i Emmę, gdy tak siedzieli obok niej na brudnej podłodze i nagle wybuchła szczerym śmiechem.

- Czuję się świetnie - powiedziała, odwracając się do Annie i puszczając do niej oko. - Twój tata mnie ocalił, wiesz? A potem mnie zbeształ. Ale już wszystko w porządku, prócz tego, że jesteśmy potwornie brudni.

Twarz Hamisha z wolna rozjaśnił uśmiech. Wstał i wyciągnął do niej rękę. Ale gdy starał się usadowić ją na wózku, zaprotestowała ze śmiechem:

- Wyglądamy tak, jakbyśmy tarzali się na sianie. Lepiej mnie tu nie sadzaj. Wózek będzie cały brudny! - Usłyszała chichot Emmy. - Chyba będziesz musiał zanieść mnie domu, prawda? - Odwróciła się do dziewczynek, jakby szukając u nich poparcia.

- Brenda ma rację! - zawołała Emma, biorąc Annie za rękę. Nawet pani Billings się śmiała, stojąc w drzwiach i obserwując to widowisko. Brenda Jane nigdy nie była tak szczęśliwa. Po raz pierwszy powrót do dawnego życia nie wydawał jej się najważniejszą rzeczą na świecie.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Tak, Eileen... Dobrze, zobaczę, co będę mógł zrobić. Gdzie on jest? W Grant Cage? Nie martw się, porozmawiam z nim. Zadzwoń, jak się czegoś dowiem.

Gdy Hamish odłożył słuchawkę i odwrócił się, by wyjść z gabinetu, nagle zdał sobie sprawę, że nie zamknął drzwi. Za późno. Gdy usłyszał zdesperowany głos żony Neila Haraldsona, całkiem zapomniał, że ktoś mógł usłyszeć ich rozmowę.

Wrócił do stołu i od razu napotkał zaniepokojony wzrok Brendy. Czyżby lękała się o niego? Uśmiechnął się pod nosem, podejrzewając, że podsłuchiwała rozmowę, a w dodatku musiała słyszeć o Grant Cage - jednym z najbardziej niebezpiecznych barów w podejrzanej okolicy Twin Cities.

Badawczo patrzył na jej twarz w poszukiwaniu zrozumienia, ale go tam nie znalazł.

- Mam do załatwienia pilną sprawę - poinformował. Obserwował w napięciu, jak B.J. z uporem kręci głowę i mruży oskarżycielsko oczy. Dobrze, że tym razem nie wybuchła w obecności dzieci i pani Billings. Wiedział jednak, że będzie musiał jej co nieco wyjaśnić. Właściwie czuł dziwne zadowolenie, że Brenda się o niego niepokoi...

- Muszę już iść - zwrócił się do dzieci, potem ucałował je w policzki.
- Jeśli będziecie spać, gdy wrócę, obiecuję, że i tak pocałuję was na dobranoc - dodał.

- Nie lubię, gdy wieczorem wychodzisz - powiedziała Emma, wydmajając wargi.

- Wiem, kochanie. - Poglaskała ją po głowie. - Ja też tego nie lubię. - I odwrócił się do wyjścia.

- Odprowadzę cię do samochodu - powiedziała Brenda, podążając za nim.

Spojrzał jej w twarz i postanowił nie protestować. Gdy byli już na dworze, przypuściła szturm.

- Nie rób tego, Hamish! To najgorsza okolica, absolutnie najgorsza. Nie czytasz gazet? W zeszłym miesiącu dokonano tam na ulicy dwóch napadów z nożem. Jedna osoba zmarła. - Chwyciła go za rękaw. - Nie jedź tam! Poślij kogoś innego...

- Brendo, przyjaciel ma kłopoty - powiedział z wielką delikatnością. - Muszę pomóc. Porozmawiamy o tym później, a teraz nie martw się. Dam sobie radę.

- Och, nie wiesz, jak tam jest strasznie! - odparowała. Patrzył na jej dłoń uczeponą jego marynarki jak koła ratunkowego i powiedział stanowczo:

- Wiem, jak tam jest. Ale dam sobie radę. Zaufaj mi.

- Przynajmniej weź z sobą kogoś do pomocy. Może... Bur-tona Kostavicha albo Lesa Johnsona. - Zaciśnęła jeszcze mocniej palce na rękawie marynarki.

Był zdumiony i zbudowany zarazem, że tak dobrze zapamiętała nazwiska dwóch krzepkich mężczyzn obecnych na środowym spotkaniu.

- Będziesz musiała mi zaufać - powiedział, odginając jej palce. Otwierając drzwi samochodu, odwrócił się i dodał uspokajająco: - Znam to miejsce i potrafię dać sobie tam radę.

Gdy ruszył, zobaczył w tylnym lusterku, że nadal siedziała w wózku na podjeździe. Cóż, ostrzegł ją, że kiedyś nie był

przyzwoitym człowiekiem... Może nadszedł czas, by opowiedzieć jej całą historię... ? Minęło już sześć tygodni, odkąd przywiózł ją do siebie do domu... Czasami wydawało mu się, że była tu zawsze - jak krzyż, który należało dźwigać, jak wieczna pokusa, którą należało zwalczać... Uroczą dziewczyną. Zabawną. Kobietą, do której tęsknił pod koniec dnia... Dodawała jego życiu blasku. Co do tego nie miał wątpliwości.

I dzięki niej zdał sobie wyraźnie sprawę, jak bardzo brakowało mu towarzyszkich życia.

Miał nadzieję, że zdołał ją dziś przekonać. Musi dać sobie radę w Grant Cage. Choć sam nie miał całkowitej pewności... Gdy był tam ostatni raz, udało mu się uratować swego ojczyma, od ciosów pięści dwóch osiłków, których starsuszek nieopatrznie obraził.

Działo się to sześć lat temu, niedługo po tym, jak wraz z Maralynn objęły kościół w Kolstad. Nie musiał jej wyjaśniać, dokąd jedzie. Nie znała nazw barów ani też nic nie wiedziała o ciemnych stronach życia.

Ale była przerażona, gdy wrócił pokiereszowany i nie chciała przyjąć do wiadomości faktu, że wyszedł z bijatyki w lepszym stanie niż cała reszta. Cóż, jego ojczym w końcu wypił o jeden kieliszek za dużo i spoczywa teraz na cmentarzu.

Powinien wyjaśnić Brendzie, że imponującą muskulaturę ciała wyrobił sobie podczas licznych bijatyk i przy grze w baseball - z zachowaniem właśnie takiej kolejności. Zastanawiał się tylko, jak wiele może powiedzieć Brendzie, by nie odwróciła się od niego z obrzydzeniem.

Oczekiwanie na powrót Hamisha było prawdziwą udęką. Wszyscy już poszli spać, ona jednak siedziała w salonie, wsłu

chana w tykanie starego zegara kominkowego. Przeniosła się z wózka na pluszową kanapę z miękkimi poduszkami i wyciągnęła na niej wygodnie.

Salon Hamisha Chandlera wyglądał zapewne tak samo jak pół wieku temu; meble z pewnością były tu od czasów pierwszego pastora Kolstad i służyły potem następnym.

Pokryte politurą meble, ciężkie draperie, stare lustro w złotej ramie, zapewne warte teraz fortunę, ołowiowe szybki w oknach, drewniany parkiet we wzory - wszystko to było dla B.J. niecodzienną scenerią.

Przeniosła wzrok na przedmioty bardziej osobiste: wazon, lampy, obrazy - prawdopodobnie wprowadzone do wnętrza przez żonę Hamisha.

Ciekawe, czy Marałynn czekała nie niego podczas takich nocy?

Odrzuciła szybko myśl, że Hamishowi może stać się coś złego. Skoro wyznał, że zna to miejsce... Nadal nie mogła zrozumieć, jak mógł znać tamtą część miasta. Jak wyglądało jego życie, zanim został pastorem?

Jak wyglądało życie żony człowieka, który nie szczędząc sił, służył wiernym swego kościoła? Ręce jej się spociły, ponieważ zaczęła sobie wyobrazać - jak to jest być żoną Hamisha Chandlera w nocy.. i gdy jest się tylko we dwoje.

Przypomniała sobie nieprzyjemne spotkanie z Edsonem Forda oraz dziwne, wieloznaczne słowa i spojrzenia pani Deaton. I nagle poczuła się zawadą na drodze Hamisha Chandlera do kariery - kobietą nieodpowiednią na żonę i nieodpowiednią na gościa w jego domu.

Hamish potrzebował żony... Potrzebował kobiety, która pomoże mu w pracy, zaopiekuje się dziećmi i będzie dzielić

z nim łóżko. Nie rozumiała, dlaczego ta myśl była dla niej taka bolesna.

Było już dobrze po północy, gdy usłyszała, jak Hamish otwiera tylne drzwi. Na palcach wszedł do pokoju. Widząc ją na kanapie, przystanął. Odsunęła nogi, by zrobić mu miejsce obok siebie. Zawahał się, ale w końcu zmęczony opadł na miękkie poduszki.

- Cieszę się, że jesteś cały i zdrowy - powiedziała.
- Nie miałś powodu do zmartwienia.
- Jak to? - spytała ostro. - Jak możesz tak mówić? Westchnął, wyraźnie zmęczony i nieskory do walki.
- Brendo, wyrosłem w tej części miasta - rzekł wolno i cicho. - Nie miałem jeszcze dwunastu lat, gdy już wyprowadzałem mojego ojczyma z takich spelunek jak Grant Cage.

Wpatrywała się w niego w ciszy, oszołomiona i świadoma, że odsłania przed nią tajemnice swego serca.

- Wcześniej musiałem nauczyć się dbać o siebie. Gdy miałem trzynaście lat, dostałem swą pierwszą pracę przy zmywaniu podłóg. Płacono mi na lewo, ponieważ byłem nieletni. - Urwał, jakby oczekując komentarza, ale gdy się nie odezwała, ciągnął opowieść: - Nauczyłem się być szybki i czujny, aby przez cały czas uważać. Nauczyłem się też innych rzeczy, o których już wiesz...

Wyciągnęła rękę i ujęła jego dłoń; rozumiała, że zwierza jej się ze spraw, o których wcale nie chciał, by się dowiedziała. Ale ona pragnęła je usłyszeć. Pragnęła wiedzieć wszystko, co dotyczyło Hamisha Chandlera.

- Poznałem smak narkotyków - mówił dalej, unosząc lekko głowę i patrząc na B.J. - oraz brudnych pieniędzy. Poznałem

lojalność, zdradę i fałszywą miłość. I nauczyłem się, jak to jest być człowiekiem upadłym, choć wówczas nie zdawałem sobie z tego sprawy.

Brendą Jane miały przeciwstawne uczucia. Nie potrafiła utożsamić znanego sobie Hamisha z tym obcym, nieszczęsnym młodzieńcem, o którym opowiadał.

- Tak mi przykro... - Nie znalazła odpowiednich słów. Był zaskoczony jej łagodną, spokojną reakcją, ale nie dał tego po sobie poznać.

- Żyłem tak przez siedem lat. Nie przyłapano mnie na niczym i tylko dzięki szczęściu nie trafiłem do więzienia. Nie znałem innego życia. Myślałem, że w ogóle nie ma innej drogi, Zresztą nikogo to nie obchodziło. Aż pewnego dnia trafiłem na tajniaka; dopiero później dowiedziałem się, kim był. Polubiliśmy się nawzajem. Był właściwie moim pierwszym przyjacielem. To on nauczył mnie grać w baseball. Gdy skończył zadanie w naszej dzielnicy, ulotnił się jak kamfora i nikt tego nawet nie zauważył. Z wyjątkiem mnie, oczywiście. Ale po jakimś czasie odezwał się do mnie. Zaprosił mnie do swego domu na przedmieściach, gdzie zjadłem kolację z jego żoną i dziećmi. Potem zabrał mnie na niedzielny piknik i na weekend. Zobaczyłem życie, jakiego nigdy nie zaznałem. - Umilkł na chwilę; odwrócił dłoń i położył na jej ręce. - On mi ufał. Gdybym go zdradził, zabiliby go. Ale tego nie zrobiłem. Nie mogłem. On mi zaufał. - Znów urwał i wolno wciągnął powietrze. - Dojrzał we mnie coś, o czym wcale nie wiedziałem, że istnieje... Dopiero później zrozumiałem, że się nie pomylił.

- I zmieniłeś się nie do poznania - zauważyła, zafascynowana jego opowieścią.

- Raczej ujrzałem siebie w innym świetle, poznałem, odkfy

łem, czego w głębi ducha pragnę od życia. Poznałem także kilku kolegów mego przyjaciela. Wreszcie dostałem pracę w ośrodku opieki społecznej, gdzie sprawowałem pieczę nad dziećmi ulicy. No i grałem w baseball. Grałem w czterech różnych drużynach! Kochałem tę grę. Wyprowadziłem się z starej dzielnicy, odciąłem od wszystkiego, co niegdyś było mi bliskie, a jednocześnie tak bardzo... beznadziejne. Naprawdę zacząłem się zmieniać. Pewnego dnia poznałem duchownego, który wprowadził mnie do jeszcze innego świata. Dopiero tam odkryłem, kim jestem i kim chciałbym być. Spędziłem cztery lata w seminarium teologicznym w Kansas.

- Jestem pod wrażeniem - powiedziała, potrząsając głową z niedowierzaniem. - A ja myślałam, że mam do czynienia z najbardziej naiwnym mężczyzną, jaki chodzi po tej ziemi. Uśmiechnął się nieco znużonym uśmiechem.
 - Z kolei ja spodziewałem się, że odwrócisz się z obrzydzeniem, albo uznasz, że jestem skończonym hipokrytą.
 - Z pewnością byłoby to ostatnie pasujące do ciebie określenie - odparła, przyglądając się kosmykowi włosów opadającemu mu na czoło. Odchylił głowę na oparcie kanapy. Obserwowała grę mięśni na jego twarzy, gdy oddawał się wspomnieniom.
 - A twoja matka? - wtrąciła nieśmiało.
 - Umarła, gdy byłem młody. Ojca natomiast nigdy nie poznałem. ..
- Jakże inne mogłoby być życie wielu zagubionych ludzi, gdyby ktoś podał im w porę pomocną dłoń, zadumała się. Odwróciła głowę do Hamisha i przemówiła szczerze, bez rezerwy, bez cienia sztuczności:
- Widzisz, jak wspaniałym człowiekiem się okazałeś?

Spojrzał jej prosto w oczy, z niedowierzaniem unosząc brwu

- Spodziewałem się z twojej strony raczej ataku - powiedział-Wzruszyła ramionami. Nie był to odpowiedni czas na napaść,

Odkrył przed nią wstydliwą przeszłość, która ją zaskoczyła, ale-do której nie czuła odrazy. Przeciwnie, patrzyła teraz na HamK sha z jeszcze większym zaciekawieniem i podziwem.

- A jak poszło dzisiaj? -spytała.

Nagle zeszywniał; obrzucił ją twardym spojrzeniem.

- Wyciągnąłem przyjaciela z kłopotów i zawiozłem go do-domu - powiedział. - Neil, odkąd go znam, był przykładowym ojcem rodziny, ale w ubiegłym miesiącu miał wypadek samo- chodowy, w którym o mało nie zginął jego dziesięcioletni syn. To spowodowało załamanie... Dziś wieczór po prostu... poszedł się upić. Mam wrażenie, że szukał guza. Szarpie nim poczucie winy. I wściekłość.

- Należy do twojego kościoła?
- Tylko jego żona. On sam nie.
- Jak go namówiłeś, by wrócił do domu?
- Cóż, po prostu zaproponowałem, że stoczmy walkę u niego w domu. Zasnął w samochodzie.

- Ale... dlaczego, Hamish? Dlaczego w ogóle po niego pojechałeś?

Roześmiał się krótko, śmiechem pozbawionym radości.

- Wielu ludzi chciałoby to wiedzieć, Brendo. Nie znajduję odpowiedzi na wszystko... Najprościej mówiąc, po prostu trzeba szukać, ustawicznie poszukiwać siebie... Tego sam się na¹ uczyłem. Wszyscy mamy możliwość wyboru, choć czasem nie zdajemy sobie z tego sprawy.

B.J. nie skomentowała jego słów. Powoli przeniosła się na wózek, by o własnych siłach dostać się na górę.

Przed chwilą jej świat znów przewrócił się do góry nogami, poznała bowiem nieoczekiwanie całkiem nowego Hamisha Chandlera.

B.J. dowiedziała się, że Hamish nigdy nie miał nowego samochodu. Takie sprawy nie były dlań ważne. Nie miała więc odwagi zwracać mu głowy nowym wozem, który zamierzała kupić.

- Tammy uwielbia zakupy - powiedział. - Myślę, że z przyjemnością pojedzie z tobą i obejrzy samochody.

Zona jego asystenta stała właśnie obok niego i uśmiechała się uprzejmie. B.J. nie pozostało nic innego, jak przystać na tę propozycję. Wiedziała jednak, że żona Medforda Bantza, podobnie jak Hamish, nie będzie się dobrze czuła w ekskluzywnych salonach samochodowych.

Postarała się więc dokonać wyboru możliwie jak najszybciej. Samochód był czerwony, dwuosobowy i, według opinii Hamisha, z pewnością o wiele za kosztowny. Resztę formalności postanowiła załatwić telefonicznie.

- Załatwione - zwróciła się do Tammy. - Co teraz chciałabyś robić? Hamish mówił, że lubisz zakupy.

Tammy przez dłuższą chwilę patrzyła na nią zdziwiona i zmieszana, nie pojmując zapewne, że kupno samochodu może być tak prostą sprawą. Wreszcie rozciągnęła usta w uśmiechu.

- Och, uwielbiam świąteczne zakupy! Może mogłybyśmy wspólnie na nie wyruszyć?

B.J. zaniemówiła. Była zaledwie połowa października, a Tammy już od tygodni mówiła o świętach! Członkowie tego kościoła chyba mieli obsesję na punkcie Bożego Narodzenia!

Cóż, ona sama nigdy tak nie świętowała...

- W porządku - zgodziła się bez entuzjazmu.

Tammy mocno nacisnęła pedał gazu i energicznie wrzuciła kierunkowskaz. B.J. naprawdę była zdziwiona, jak szybko i sprawnie podjechała pod najbliższy dom towarowy.

Dla B.J. robienie sprawunków w towarzystwie takiej kobiety jak Tammy było całkiem nowym doświadczeniem.

- Och, tylko zobacz! - zawołała żona pastora na widok dziecięcych ubranek. - Teraz to noszą małe dziewczynki. Och, mam nadzieję, że będę miała dziewczynkę. Cóż to za przyjemność strojenie małych dziewczynek! Ale, rzecz jasna, sama będę szyć. Nie będziemy mogli sobie pozwolić na kupno tak kosztownych rzeczy.

Brendzie ceny wydawały się bardzo niskie.

- Mam nadzieję, że znajdę coś ładnego dla Emmy i Annie
- mówiła Tammy, przeglądając stertę sweterków leżących na ladzie. - W tym roku na prezenty dla dzieci mogę wydać najwyżej pięć dolarów.

B.J. przyglądała jej się z niedowierzaniem.

- Oczywiście, sama robię wiele rzeczy - ciągnęła Tammy.
- Szyję, robię na drutach... Wiesz, Annie nosi jeszcze rzeczy, które Maralynn zrobiła dla Emmy kilka lat temu. I wcale nie wyglądają na znoszone.

W trzecim sklepie z przecenionymi rzeczami, B.J. była już nieco zniecierpliwiona. Odjechała nawet na chwilę od Tammy. Doprawdy, czuła się jak cudzoziemiec w obcym kraju. Czyżby na tym właśnie polegała rola żony pastora? Dzierganie, szydełkowanie, ciułanie grosza do grosza... Nawet nie potrafiła wyobrazić sobie siebie robiącej na drutach!

Maralynn z pewnością była żoną doskonałą. B.J. wolno przesuwiała się wśród nie kończących się stoisk i miała ochotę wyc.

Była intruzem w życiu pastora - osobą całkiem obcą i nieodpowiednią

Coś przyciągnęło jej uwagę na stoisku drogerijnym Były to rozmaite spinki, wsuwki i klamerki, które dziewczynki wpinają we włosy, by nie opadały im na twarz Pomyślała zaraz o włosach Annie, które zasłaniały jej buzię, i o niesfornej czuprynie Emmy

Brała do ręki rozmaite drobiazgi, oglądała sztuka po sztuce Wpadł jej do głowy pewien pomysł, gdy dotykała miękkiego elastycznego weluru na opaski Oczami wyobraźni zobaczyła pastelowe ozdoby na głowie Annie Ijaskrawoczerwone we włosach Emmy Niektóre dekoracyjne elementy mogłaby zrobić sama Tak, to będzie świetna zabawa Kupi wstążki, gumki, kokardki, a potem sama je pozszywa i skomponuje Dziewczynki będą mogły jej w tym pomóc albo przynajmniej popatrzeć

Ale w ogóle nie pomyślała o świętach Myślała wyłącznie o dziewczynkach Będą się świetnie bawić przy tej okazji Nawet jeśli Annie usiądzie w bezpiecznej odległości i tylko pani Bilhngs pozwoli wpiąć sobie spinkę we włosy

Tammy przyglądała się sceptycznie zakupom B J - I co zamierzasz zrobić z tych skrawków' - spytała, gdy opuszczały sklep

B J stłumiła uśmiech Na szczęście nie obowiązywały jej konwenanse, których musiała przestrzegać zona duchownego Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, pomyślała

Hamish spóźnił się na kolację, a był to dzień kolejnego wieczornego spotkania w kościele Schował się w swoim gabinecie

I zamknął za sobą drzwi Chciał szybko odzyskać siły po dniu pełnym denerwujących spraw i spotkań z rozgoryczonymi pa

rafianami. Do kościoła wyszli późno, wszyscy razem. Emma siedziała Brendzie na kolanach, co było już stałym zwyczajem. Annie czuła się tym lekko urażona, ale za każdym razem, gdy Brenda zachęcała ją, by zamieniła się z siostrą, mała dziewczynka odskakiwała w bok jak spłoszony ptak.

Hamish odwracał się co chwila i przyglądał tym scenom z uśmiechem.

- Ona jest okropna, gdy się dąsa. Zostaw ją, Brendo, i jedźmy szybciej - ponaglała Emma.

- Wasz tata jest już spóźniony - wtrąciła się w końcu pani Billings. - Wstydz się, Annie. Naprawdę przeszkadzasz ojcu.

Błękitne oczy Annie rozszerzyły się w przestraszu. Odwróciła głowę do Hamisha, jakby w niemyim pytaniu: „Co ja takiego zrobiłam?”. A gdy ojciec obrzucił ją surowym wzrokiem, tak jej się przynajmniej wydawało, podbródek jej zadrżał.

Rzeczywiście, Hamish był spóźniony. Powinien iść znacznie szybciej, ale rozgrywająca się w tyle scena pomiędzy Brendą a jego córkami niezwykle go zafascynowała. Obserwował swą młodszą pociechę targaną sprzecznymi uczuciami.

Wreszcie wysunęła wyzywająco brodę, jakby z wysiłkiem pokonała strach.

- Chcę też pojechać - powiedziała, zaciskając dłonie w pięści. Uśmiech rozjaśnił twarz Brendy. Zsunęła Emmę z kolan, jednocześnie ściskając jej dłoń, jakby chciała podzielić się z nią swym zwycięstwem.

- Chcesz poprowadzić? - zwróciła się do Annie, gdy dziewczynka nieporadnie wdrapała jej się na kolana.

Annie zaprzeczyła ruchem głowy. Siedziała sztywno, odsunięta jak najdalej od Brendy, ze skrzyżowanymi, jakby w geście obrony, ramionami. Hamish postarał się radosnym okrzykiem

nie popsuć tej chwili. Stłumił więc uśmiech - uśmiech pełen szczerzej satysfakcji - i odszedł pospiesznie w kierunku kościoła.

Zauważył, że w ostatnich tygodniach Brenda czyniła wysiłki, by dotrzeć do Annie. I właśnie teraz doszło do wielkiego przełomu! Och, naprawdę się cieszył, widząc Brendę i Annie razem - silne, niezależne, wartościowe istoty, a jednocześnie targane strachem i kompleksami.

Po modlitwie, gdy wierni rozproszyli się po całym kościele, Hamish długo poszukiwał Brendy. Wreszcie natrafił na nią w jednym z pokoi, wśród kobiet zajętych robotkami ręcznymi. Pograżona była w rozmowie z dwiema sąsiadkami; jedna kobieta przeglądała jakieś kolorowe skrawki materiału, druga zaś przyglądała im się z zainteresowaniem. Brenda niezdarnie nawijała na zdrową dłoń jakieś kolorowe wstążki. Rozmowa dotyczyła włosów i fryzur małych dziewczynek.

Hamish - nie zauważony - wycofał się ostrożnie do drzwi, a potem pomaszerował szybkim krokiem do kancelarii.

Musiał być sam, przynajmniej kilka chwil. Brenda Jane Dol-liver doprowadzała go do szaleństwa, wślizgując się w najskrytsze zakamarki jego duszy.

W czwartek po południu oczarowanie Brendą przysło jak mydlana bańka, gdy zatrzymał się na podjeździe tuż za jej nowym, czerwonym samochodem.

Mój Boże, Brendo, co ty zrobiłaś! Pospieszyl do domu.

- Mamy nowy samochód! - zapiszczała Emma radośnie, gdy tylko otworzył drzwi. - Jasnoczerwony!

- Czerwony - poprawiła Annie.

- Widziałem go - odparł ponuro, wymieniając znaczące

spojrzenie z panią Billings. Och, że też nie mogła zaczekać **Z** tym zakupem do chwili swego odjazdu! W ogóle nie przyszło mu wcześniej do głowy, że będzie parkować swój błyszczący sportowy wóz - tak bardzo rzucający się w oczy - na jego podjeździe!

Gdy jednak zobaczył ją przy stole w jadalni, zajętej zszywaniem różnych kolorowych fatalaszków, a swoje córki po obu jej stronach, zagłębiające rozgorączkowane dłonie w gmatwaniu kolorowych przedmiotów - odebrało mu mowę.

Brenda robiła jakieś skomplikowane ozdoby do włosów. Trz> z nich leżały już gotowe z boku; wyglądały naprawdę zabawnie i atrakcyjnie.

- Możemy pokazać tacie? - spytała niecierpliwie Emma. Brenda podniosła wzrok. Jej promienny uśmiech zupełnie go rozbroił. A nawet - miał takie wrażenie - na moment serce mi bić przestało.

- Witaj, Hamish! - odezwała się.

Usiadł przy stole, nie mogąc głosu z gardła wydobyć.

Patrzył, jak dokonuje ostatnich poprawek, wolno poruszając palcami. Po chwili podała ozdobę Annie, dziewczynka zaś ujęła ją ostrożnie w obie dłonie, jak coś niezwykle kruchego, a potem zaniósła pani Billings, by wpięła jej we włosy.

Brenda tymczasem zebrała włosy Emmy w koński ogon na czubku głowy i wsunęła nań kolorową dekorację. Starsza córka wydała się nagle Hamishowi ładniejsza i o wiele bardziej dojrzała.

Włosy Annie natomiast zostały upięte po jednej stronie głowy, a pastelowe wstążki sprawiły, że wyglądała jak aniołek.

Paradowały teraz przed nim, wdzięcząc się i oczekując pochwał. Przytulił je obie i popatrzył ponad ich głowami na Bren

dę. Uśmiechała się, dumna ze swego dzieła. Nagle przypomniał sobie rzeczy, które robiła Maralynn; były to zwykle praktyczne, ale raczej pozbawione wdzięku sweterki lub rękawiczki.

Rozczulił go szczery śmiech dziewczynek i sposób, w jaki Brenda z nimi rozmawiała. Był tak bardzo szczęśliwy i wdzięczny, że miał ochotę pochylić się i... pocałować Brendę w usta. I powiedzieć jej, że jest wspaniała.

Był pewien, że usta jej będą miękkie i ciepłe, ale jednocześnie wiedział, że zaraz zapragnie więcej. Wiedział również, że dzieje się z nim coś dziwnego, nowego i erotycznie zmysłowego.

Kiedy indziej porozmawia z nią o samochodzie.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Od niedawna, gdy odzyskała siłę w prawej ręce, mogła używać kul. Z początku trochę się bała. Miała wrażenie, że stoi nad ziemią na wysokich szczydlach. Zmusiła się jednak do chodzenia i strach ustąpił. Z wolna nabierała pewności siebie.

W dodatku miała już samochód, mogła go prowadzić i sama jeździć na rehabilitację.

Jej ogólny stan co prawda nie poprawił się zadowalająco, ale to jej nie zniechęcało. Lekceważyła nawet dokuczliwy ból w biodrze, który zaczął obejmować nogę.

Od czasu przybycia do domu Hamisha Chandlera nie opuściła ani jednego środowego spotkania; było już za chłodno na grę w piłkę na dworze, obserwowała więc teraz zmagania w siatkówkę na sali.

Pewnego wieczoru Les Johnson skinął na nią, by się przyłączyła. Chwilę później stała za białą linią i serwowała. Strzał był potężny i tylko nieznacznie zбочzył z toru. Dostała gromkie brawa.

Poczuła się tak, jakby dokonała wspaniałego wyczynu. I naprawdę wzruszyły ją oznaki przyjaźni całkiem jej obcych ludzi.

Co za paradoks, pomyślała. Przyjaźń nigdy nie przedstawiała dla niej wielkiej wartości. Ani rodzina... Może z wyjątkiem ojca, ten jednak właściwie jej nie znał

Po skończeniu gry poszukała dziewczynkę. Robiły wycinanki i lepily coś z gliny wraz innymi dziećmi.

Pomachała do Emmy i podeszła do Annie, która tarła oczy rękami. Doznała dziwnie przyjemnego uczucia, gdy Annie nieoczekiwanie wyciągnęła do niej ręce. Jakże wzruszył ją ten gest zaufania!

Usiadła na krześle, odstawiając na bok kule. Annie weszła jej na kolana i przyłożyła głowę do piersi. Potem zamknęła oczy, a B.J. poczuła, jak ciało małej robi się wiotkie i bezwładne.

Rozejrzała się po pokoju, przyglądając dzieciom, które rysowały, wyklejały coś i grały na instrumentach. Gdy dźwięki rozległy się głośniejsz, poglaskała Annie po plecach, tak samo jak robił to Hamish.

Zaczęła się zastanawiać, jak by się czuła, trzymając w ramionach własne dziecko... Dziecko swoje i Hamisha. Myśl ta przyprawiła ją o skurcz serca,

Nieoczekiwanie wrócił ból, który dręczył ją ostatnio coraz częściej - ból dokuczliwy i mdląco-słodki zarazem, który drażył jej ciało głębiej i głębiej, promieniował od biodra na całą nogę. Nie chciała jednak pozbyć się słodkiego ciężaru. Zmieniła nieco pozycję, ale niewiele to pomogło.

Do pokoju szybkim krokiem wszedł Hamish. Przykucnął przed dzieckiem i przyłożył dłoń do jej czoła. Było zaledwie ciepłe.

- Ona nie jest chora, tylko zmęczona - wyszeptła B.J.
- Wygląda na bardzo zadowoloną, ale lepiej, jak wezmę ją z twoich kolan - powiedział cicho, wyciągając ramiona po Annie, a potem pomógł B.J. wstać.

Gdy poruszyła się, ostry ból przeszedł przez jej ciało, jak strumień prądu. Skrzywiła twarz.

- Posiedzę tu jeszcze - powiedziała wymijająco.

- Boli cię? - Zmarszczył brwi.

- Powinna kilka minut odpocząć - odparła, ale zaczęła się niepokoić, dlaczego nadal czuje ból, wyciągając nogę. - Wszystko w porządku. Lepiej zajmij się Annie.

- Wezwij mnie, jeśli będziesz potrzebowała pomocy - powiedział, wynosząc córeczkę z pokoju.

Kobieta, która bawiła się z dziećmi przy stole podniosła wzrok i spytała:

- Dobrze się czujesz?

- To tylko skurcz, nic wielkiego.

Zniosła już gorsze bóle, z pewnością znieśie i ten... Ale każdy krok, gdy się podniosła, był torturą. Ból wzrastał, nawet gdy podwijała prawą nogę tak, że nawet nie dotykała ziemi.

Gdy odnalazła panią Billings i Emmę, dowiedziała się, że Hamish poszedł do domu ze śpiącą Annie. One również postanowiły wracać. Pani Billings ruszyła przodem, B.J. z Emmą szły wolno z tyłu.

Droga do domu była dla B.J. prawdziwą udręką, ale dokonała tego, co zdawało się niemożliwe. Na podjeździe spotkała Ha-misha, wracającego z powrotem do kościoła. W świetle latarni twarz jego przybrała niebieski odcień.

- Dobrze się czujesz? - spytał.

- Doskonale - odpowiedziała.

- Pani Billings kładzie Annie do łóżka... Ciesz się, że byłaś tam, gdy cię potrzebowała - dodał.

Nie starała się nawet ukryć, jak głęboko poruszyły ją te słowa. A więc on także zauważył, że udało jej się przekroczyć niewidzialną barierę, jaką wzniosła między nimi Annie. Spojrzała na dom, gdzie w oświetlonych oknach salonu mignęła postać pani Billings.

- Słyszałem, że dziś wieczór zdobyłaś cztery punkty w siatkówkę - powiedział z uśmiechem. - I to za pomocą tylko lewej ręki. Les Johnson oświadczył nawet, że chce być z tobą w drużynie, gdy pozbędziesz się kul.

- Powinnaś chyba przyjąć twoje wyzwanie i zagrać w rzutki - odparła słabym głosem.

Uśmiechnął się i odprowadził ją do domu. Próbowala się dzielnie trzymać, ale nim dotarła do rampy, musiała przystanąć.

- Nie czujesz się dobrze - skwitował.

- Jestem po prostu zmęczona - odpowiedziała.

Później tego wieczoru zaniósł ją na górę i długo trzymał w ramionach - znacznie dłużej niż to było konieczne. Chciała, by położył się obok niej na łóżku, ale wiedziała, że tego nie zrobi.

Gdy już wszyscy spali, wstała i wyjęła z torby tabletki przeciwbólowe. Sądziła, że już nigdy nie będą jej potrzebne. Dziś pomogły jej zasnąć.

Nazajutrz w centrum rehabilitacyjnym była zbyt obolała, aby znieść rutynowe ćwiczenia. Doktor Wahler zalecił mnóstwo dodatkowych badań. Do domu wróciła zmęczona i pełna obaw. Biodro dokuczalo jej coraz bardziej. Gdy weszła do kuchni, Annie siedziała przy stole, popijając wodę sodową. B.J. powitała ją z uśmiechem, który Annie po raz pierwszy odwzajemniła.

- Jestem bardzo zmęczona - zwróciła się do pani Billings. - Pójdę się zdrzemnąć.

Wzięła następną tabletkę przeciwbólową i poszła do łóżka. W porze kolacji zajrzała do niej pani Billings.

- Co ci jest, kochanie? - spytała z troską w głosie. Trochę boli mnie żołądek

- skłamała. - Muszę się dobrze wyspać.

„Nazajutrz, gdy jechała na umówioną wizytę z doktorem Wa-herem, poprosiła o wózek natychmiast po wejściu do szpitala.

A potem pojechała na parking z widokiem na Missisipi i w zamyśleniu patrzyła na rzekę. Chciało jej się płakać. Opierała się na Hamishu, korzystała z jego szlachetności, zabierała mu czas i uwagę. A teraz po tak długim czasie i tylu wysiłkach z jego strony - zawiedzie go... Zrobi miłowy krok do tyłu. Podczas następnej rekonwalescencji uzależni się od niego jeszcze bardziej. Nie tylko kłopoty natury zdrowotnej rzucały ją na kolana. Ból był także wewnątrz niej - ten drugi ból wynikał po prostu z faktu, że Hamish Chandler pojawił się w jej życiu. Doskwierała jej świadomość, że może być z nim jedynie tak długo, jak długo będzie od niego zależna. A przecież przywiązała się do niego... On natomiast czekał na jej powrót do zdrowia, by móc żyć dalej własnym życiem i poszukać sobie odpowiedniej kobiety na żonę.

Nie chciała mu powiedzieć o czekającej ją operacji.

Nie chciała powiedzieć, że musi wrócić do szpitala i zacząć wszystko od początku.

Nie chciała o tym nawet myśleć. Ale nie mogła myśleć o niczym innym.

W piątek po południu Hamish zaniepokoił się na dobre. Właściwie nie widywał Brendy od dwóch dni.

- Albo jest w swoim pokoju, albo gdzieś wyjeżdża - powiedziała mu pani Billings. - Dziś poinformowała, że ma umówioną wizytę u lekarza. Ale to było o dziesiątej rano!

Po tej wiadomości nie mógł się skoncentrować. Zrobił więc to, co zawsze robił w takiej sytuacji - poszedł do kościoła.

Gdy podchodził do ołtarza, nagle przystanął. Na stopniach,

z pochyloną głową i skrzyżowanymi dłońmi, klęczała B.J. Kule leżały w nieładzie za jej plecami, tak jakby je rzuciła od niechcenia.

Wstrzymując oddech, szedł cicho w jej stronę. Gdy stanął tuż za nią, podniosła głowę.

- Hamish?

- Jestem tu - odpowiedział miękko.

- Pomyślałam, że modlitwa mi pomoże... Wiem, że pomaga... Ale ja nie potrafię się modlić! - I wybuchnęła płaczem.

Zaskoczony przysiadł na stopniach ołtarza.

- Po prostu mów jak do kogoś, z kim cię coś łączy - powiedział łagodnie.

- Ale mnie nic nie łączy z Bogiem, Hamish. I nigdy mnie nie łączyło. Nie wiem nawet, gdzie go szukać.

- Wykaż więc chęć i pozwól, by On odnalazł ciebie - odparł, przytulając ją do siebie. - Obawiałaś się chwili, gdy wyciągnę Biblię i zacznę ci opowiadać o grzechu i łasce, o tym, jak Go wielbić i że zacznę cię nakłaniać, byś wstąpiła do naszego kościoła i chodziła na niedzielne msze...

- Miałam nawet przygotowane kontrargumenty - wtrąciła. - Ale ty mnie rozbroiłeś, ponieważ nie prawileś żadnych kazań. I teraz sama przyszedłam w rozterce, by znaleźć tu coś dla siebie.

- Co cię tu sprowadziło, Brendo? Co się stało? Przytuliła się doń mocniej i milczała. Pozwolił jej na to,

Ale gdy zaczęła się od niego odsuwać, pomyślał, że się wycofa i znów zamknie w swojej skorupie, przerwał więc milczenie:

- Pani Billings niepokoi się o ciebie - powiedział. - Powinnas wrócić do domu.

- Wyjeżdżam w przyszłym tygodniu - oznajmiła, wbijając

martwy wzrok w ziemię. - Nie będzie mnie tydzień. Jadę odwiedzić ojca.

- A więc w końcu do niego zadzwoniłaś?
- Napisałam. Ale nie zawiadomiłam go o wypadku. On otwiera teraz

kolejny sklep na Long Beach.

Nie skomentował tych wiadomości.

- Wrócisz? - spytał po prostu.
- Taki mam zamiar. Oczywiście, jeśli mnie przyjmiesz...
- Zawsze cię przyjmę. Właściwie jesteś już częścią naszej rodziny.
- Aż ponownie się ożenisz - wymamrotała.
- Wtedy również - odparł, czując, jak gardło mu się ścisza z emocji. -

Zresztą do tego daleka droga.

- Nigdy nie wiadomo... - Pozostawiła tę myśl nie wypowiedzianą.
- Masz rację - przyznał, ale wiedział doskonale, że zdążył już stracić

entuzjazm do poszukiwania żony gdzie indziej... Zielone oczy, gęste; brązowe włosy oraz mała, gojąca się blizna na policzku królowały w jego wyobraźni.

Gdy nie widział jej kilka godzin, już za nią tęsknił. Był wytrącony z równowagi, niespokojny. Wczoraj wieczorem, gdy nie usiadła do kolacji, miał wrażenie, jakby brakowało pół rodziny.

Cisza, która teraz zapadła, była ciężka i smutna. Pragnął jej powiedzieć, że bardzo chciałby, by wróciła jak najszybciej. Intrygowało go, dlaczego jest nieszczęśliwa, dlaczego chce wyjechać. Najwyraźniej nie zamierzała mu odpowiedzieć. Przynajmniej nie teraz.

- Kiedy wyjeżdżasz? - spytał.
- W najbliższą środę, bardzo wcześnie, nim wszyscy wstaną.

- Mamy więc jeszcze cztery dni.

Nazajutrz po południu, gdy B.J. wróciła z zakupów, Hamish był już w domu.

- Czas na piknik - powiedział, a gdy rzuciła na stół album, dodał: - Co to jest?

- Postanowiłam zgromadzić trochę recenzji o swoich pracach - odrzekła z lekkim uśmiechem, pomyślała bowiem o wycinkach z gazet, które pierwszego dnia przywiózł z jej mieszkania. - Dzięki, że je przywiozłeś - dodała czule.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odpowiedział jej uśmiechem.

- A co z tym piknikiem? - podjęła. - Przecież jest zima. Nie urządza się pikników o tej porze roku.

- Pewnie nie zauważyłaś, że jesień robi dziś wysilek, byśmy miło ją zapamiętali. To zapewne ostatni ciepły dzień przed majem. Pojedziemy na piknik nad rzeką St Croix.

Miał minę uradowanego chłopca. B.J. bardzo chciała zarzucić mu ręce na szyję. Zamiast tego jednak, z entuzjazmem włączyła się w przygotowania. Pomogła pani Billings ugotować jajka i ziemniaki oraz przygotować hot-dogi. Gdy wreszcie wszystko było gotowe, wyruszyli nad rzekę St Croix.

Hamish dokładnie znał miejsce, gdzie kiedyś znajdował się most. Brzeg był tu piaszczysty i łagodnie schodził do wody. Jesienne liście opadały z drzew, a bardzo ciepły jak na tę porę roku wiatr rozwiewał je u ich stóp.

Humory dopisywały. Hamish był niezwykle szczęśliwy, ponieważ otaczali go ludzie, których najbardziej kochał. Gdy rozsiedli się na kocu, popatrzył na czyste, błękitne niebo i poczuł głęboką wdzięczność za ten dzień i tę chwilę.

A gdy spojrzął w oczy Brendy, ucieszył się, ponieważ dziś

w jej oczach było coś głębokiego, poważnego i ciepłego, co sprawiło, że wyzbył się złych przeczuciu dotyczących przyszłości.

Gdy zjedli, położył się na brzegu koca i przyglądał się Brendzie; leżała z głową wspartą na łokciu, Emma zaś przytulała się do niej, opierając podbródek na jej szyi; ich włosy splątywał ciepły wiatr. Szeptały o czymś cicho. Annie, oparta plecami o ramię Brendy, była spokojna i zadowolona.

Wyglądały jak prawdziwa rodzina, pomyślał ze wzruszeniem Hamish. Nie musiał daleko szukać matki dla swoich dzieci... To oczywiste, że dziewczynki ją pokochały - nawet Annie, która stoczyła ze sobą ostrą walkę.

Nie potrafił dokładnie powiedzieć, kiedy to się stało, ale Brenda Jane się zmieniła. Była w niej teraz delikatność, której przedtem nie widział. I któregoś dnia w ciągu tych dwóch miesięcy znalazła drogę do serca dziewczynek...

Oczywiście, to nie może trwać wiecznie. Sportowy wóz przypominał o życiu, do którego wróci Brenda Jane. Nie będzie w nim miejsca dla skromnego męża, starego domu i rodziny przywykłej do życia bez specjalnego komfortu.

Miał ochotę objąć je wszystkie trzy i przytulić do siebie.

Westchnienie pani Billings rozproszyło jego uwagę.

- Wszystko w porządku? - spytała.
- Oczywiście - powiedział cicho, przepelniony radością, ale gdy spojrział na Brendę, zauważył cienie pod jej oczami.

W niedzielę, gdy Hamish już wyszedł, B.J. oświadczyła pani Billings i dziewczynkom, że pójdzie dziś z nimi do kościoła. Przed wyjściem zażyła tabletkę przeciwbólową. Podjechała pod kościół na wózku, ale do środka weszła o kulach i zajęła miejsce w ławce jak inni.

Właściwie nie przysła tu na mszę. Chciała zobaczyć Hami-sha w koloratce i ornacie. Chciała zobaczyć, jak odprawia normalną mszę.

Podczas pobytu w jego domu zauważyła, jak go ludzie traktują. Darzyli go szacunkiem, dbali o niego, odnosili się do niego z respektem, czego on jakby nie zauważał. Zwracali się do niego, potrzebując pomocy, ale także stawali u jego boku, gdy prosił o wsparcie. Co za ironia, że ze wszystkich mężczyzn, których znała, tylko Hamish Chandler, kpiący z jej ataków i uważający się za bogatego, naprawdę zrobił na niej wrażenie.

Jeśli zdumiony był jej obecnością w kościele, nie dał nic po sobie poznać. Uśmiechnął się do niej przyjaźnie podczas powitania zgromadzonych.

Gdy zaintonowano pierwszą pieśń, gdy zagrały organy, poczuła pod powiekami łzy.

Po mszy sala konferencyjna zamieniła się w kawiarnię; podano kawę, soki i ciasteczka. BJ. poznała już wielu członków kongregacji i teraz poruszała się wśród nich swobodnie i rozmawiała.

Polubili mnie, pomyślała, napotyając liczne oznaki przyjaźni. A przecież nic dla nich nie zrobiłam, nic nie znaczące...

Chciała przecież tylko skorzystać z gościnności Hamisha i pójść swoją drogą.

Ale okazało się, że tutaj należy.

Po raz pierwszy w życiu poczuła, że gdzieś przynależy, w dodatku specjalnie się o to nie starając.

Próbowała zrozumieć to, co się wokół niej działo - rosnącą zależność od Hamisha i zależność od innych, ponieważ była niepełnosprawna. Usiłowała uporządkować sprawy i przyzwyczaić się do myśli, że w środę rano czeka ją kolejna operacja... Ta myśl była nie do zniesienia!

Zaczęła drżeć. Drganie zaczęło się gdzieś poza jej świadomością i z wolna ogarniało całe jej ciało. To drżenie rodziło się w głębi niej i nie mogła go powstrzymać. Przeprosiła towarzystwo przy stole, przy którym siedziała i wróciła do domu.

Gdzie się podziała jej wola walki? Gdzie się podział jej twardy charakter? Co się z nią działo? Nie potrafiła siebie zrozumieć.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Tu wszystko się zaczęło, pomyślał Hamish, patrząc z góry na śpiącą postać. Pokój był co prawda inny - nie było tu poprzeczki nad łóżkiem, ale z wiszących wysoko plastikowych butli sączyły się do ciała Brendy jakieś płyny. Teraz miała uroczą twarz - bez śladów po siniakach czy ran. Tylko jedna mała blizna lekko szpeciła delikatny policzek.

Uniósł do ust jej palce, napawając się ich ciepłem i zapachem. Zaszedł bardzo daleko od miejsca, w którym po raz pierwszy wkroczył do jej życia jako chłodny obserwator.

Siedział teraz obok jej łóżka, przypominając sobie pierwsze wizyty, a potem, oczywiście, długą rekonwalescencję w jego domu.

We wtorek wieczorem odkrył jej sekret. Od kilku dni podejrzewał, że coś jest nie w porządku. Wreszcie zadzwoniła, ale głos miała dziwny. Domyślił się, że coś ukrywa. A w dodatku po kilku pytaniach zrozumiał, że nie telefonowała od ojca. To skłoniło go do działania.

Nie mógł zrozumieć, dlaczego mu nie powiedziała. Był doprawdy rozczarowany, że nie pozyskał jej zaufania.

Zamrugła powiekami i otworzyła oczy. Na jego widok wyraźnie się zmieszła.

- Jeszcze żyję? - spytała szeptem.
- Mam nadzieję - powiedział z uśmiechem.

- Po co przyszedłeś? - Mówiła tym samym zduszonym' szeptem, który doskonale pamiętała; wymawiała słowa z trudnością, wyraźnie pod wpływem leków.

- Nie utrzymasz przede mną żadnych sekretów, Brendo Jane - ostrzegł, śmiejąc się z jej zaskoczenia.

Zacisnęła lekko palce wokół jego dłoni i z westchnieniem przytknęła oczy.

Dopiero po godzinie znów się obudziła. Gdy otworzyła oczy, Hamish nadal siedział przy jej łóżku.

- Zrób to, co przedtem - wymamrotała.

- Co takiego?

- Mokry ręcznik... Połóż mi go na twarz. Doskonale pamiętała, jak wówczas ją to odprężyło.

- Zgoda, ale pod warunkiem, że porozmawiamy.

- Żadnych obietnic!

- Zgoda. Jestem w nastroju do negocjacji.

- Negocjacji?

- Powiesz mi, dlaczego nie chciałaś, bym tu był, a ja ci opowiem, jak odkryłem twój mały sekret.

Z namaszczeniem podała mu ręcznik. Jakże różniła się teraz od tej zwariowanej pacjentki, która poprzednio rzucała ręczniki obok łóżka.

- Wykorzystywałam cię, Hamish, wykorzystywałam twoją dobroć, odciągałam od pracy, byłam źródłem samych kłopotów... Pozbawiłam cię własnego łóżka i sprawiłam, że żyłeś w zawieszaniu. - Nie patrzyła na niego, ale on obserwował jej twarz, jej lekko drżącą dolną wargę.

- Wcale nie żyję w zawieszaniu - zaprotestował.

- Ale nie masz czasu na poszukiwanie żony, ponieważ siedzę ci na głowie...

- To mi nie przeszkadza. - Zastanawiał się, czy nie powiedzieć jej, że wcale nie ma ochoty szukać żony gdzie indziej... A może, gdy wyzna jej uczucia, ona poczuje się osaczona? Może będzie chciała od niego uciec, wyrwać się z jego domu...? No cóż, wiedział ponadto, że jak tylko wyzdrowieje, znenawidzi ubóstwo i prostotę, która go otaczała.

- Jesteś dla mnie zbyt dobry, Hamish. Nigdy tak się mną nie opiekowano. Nie miałam takiego... przyjaciela.

- Dziękuję. Naprawdę jestem twoim przyjacielem, dlatego nie mogę zrozumieć, dlaczego mi nie powiedziałaś.

Odwróciła wzrok i zamrugała oczami, by powstrzymać łzy.

- Wszystko, co dla mnie zrobiłeś, poszło na marne! Nie widzisz? Wróciłam do punktu wyjścia. Wcale nie wracam do zdrowia. Nie dotrzymuję umowy...

- Jaką umowę masz na myśli? Nie przypominam sobie, byśmy wyznaczyli jakąś datę! - Wcale nie chciał, by jego głos zabrzmiał ostro, ale nie podobało mu się, że Brenda czuła się winna.

Spojrzała mu prosto w oczy i postukała się w pierś.

- O, tu! Tu jest ta umowa. Nigdy bym się nie zgodziła, gdybym wiedziała, że to potrwa dłużej.

- Umawialiśmy się jedynie, że nie będziesz obrażać mojej rodziny i mojego kościoła. Nie ustalaliśmy żadnego limitu czasu. Nie możesz narzucać mi swoich osobistych odczuć, Brendo Jane.

Obserwował, jak toczy wewnętrzną walkę, analizując te słowa. Och, jakże chciał widzieć ją z powrotem u siebie w domu - chciał, by jadła przy jego stole, spała w jego sypialni, by czekała na niego, gdy się spóźniał i pytała go później, jak minął dzień... Po prostu za nią tęsknił. I w gruncie rzeczy pragnął, by była od niego zależna - zależna w taki sposób, by sama nie chciała odejść.

Ale szanse na podobny finał były niewielkie. Zauważył, że poruszyła ustami, ale nie zdołała wydobyć głosu.

- Rozumiesz, co mam na myśli? - spytał.

- Nie, niczego nie rozumiem, ale skoro ty rozumiesz, więc może ja też w końcu zrozumieć - powiedziała wolno, z rozmysłem, a potem z figlarnym uśmiechem dodała: - Zamierzałam wrócić. Kupiłam ci nawet prezent. - Powstrzymała uśmiech - Jest tam, w szafce. Chciałam dać ci go po powrocie... z wizyty u ojca w Kalifornii.

W brązowej torebce znalazł długie pudełko owinięte lśnią cym papierem i przepasane elegancką kokardą.

- Otwórz je - poprosiła z uśmiechem.

Gdy ostrożnie otworzył pudełko, znalazł w nim dwa tuzin białych męskich chustek do nosa opatrzonych jego monogramem. Był to jeden z rzadkich przypadków w jego życiu, gdy po prostu odebrało mu mowę.

- Byłam ci je winna - powiedziała zalotnie, śmiejąc się w głos. - Częściej używam twoich chusteczek niż ty sam!

Podniósł się z miejsca, pochylił i pocałował ją w usta.

- Dziękuję - wyszeptał. - Nigdy nie dostałem niczego równie pięknego.

B.J. wróciła do domu o kulach; czuła się już o wiele lepiej bolały ją tylko rany pooperacyjne. Gdy wysiadła z samochodu Hamisha, dwie małe dziewczynki pędem wybiegły z domu. Zatrzymały się na chwilę, zapewne pomne ostrzeżenia, by uważać na słabą jeszcze rekonwalescentkę, a potem puściły się pędem w jej kierunku. Objęły ją delikatnie za szyję.

- Brenda, Brenda! - piszczały radośnie.

- Stęskniłyśmy się za tobą - powiedziała Emma.
- Dziewczynki, uważajcie - prosił Hamish stojący z tyłu. - Brenda jest jeszcze słaba. - Podał BJ. kule i wziął córki za ręce, tak by mogła sama dojść do domu.

Pani Billings powitała ją na progu długim, serdecznym uściskiem.

- Jak to dobrze, że znów jesteś w domu - powiedziała. W domu...

Była w domu!

Rozejrzała się wzruszona po kuchni; podniszczone sprzęty, wyszczerbione naczynia - wszystko było na swoim miejscu. Chyba za nimi także się stęskniła...

Hamish, stojący jak anioł stróż za jej plecami, zacisnął palce na jej ramionach.

- Wydawało mi się, że minął cały miesiąc - szepnął jej do ucha. - Witaj w domu.

Żar bijący od niego odebrał jej oddech. Wstrząśnięta, zdołała jedynie skinąć głową.

Jak mogło mu się wydawać, że minął miesiąc! Przez ostatnie trzy dni odwiedzał ją przecież co dzień. Ale to miło, że za nią tęsknił. Był subtelnym, troskliwym mężczyzną, ale, przyznać musiała, wszystkich traktował równie opiekuńczo. Jednak mimo że czuła się tutaj jak w domu, mimo że powitano ją ze szczerą radością - nie był to jej dom! Była tylko gościem.

Właściwie mogłaby pojechać do swego mieszkania w centrum Minneapolis i zamieszkać sama. Dzięki Bogu, że rodzina Chandlerów była odmiennego zdania.

Tej nocy, gdy wsunęła się do łóżka, wyczuła jakimś szóstym zmysłem, że Hamish spał tu podczas jej nieobecności. Pościel zmieniono, ale coś było... Po prostu - coś. Może ulotny zapach jego ciała, a może tylko przeczucie...?

Mimo zmęczenia leżała długi czas z otwartymi oczami i rozmyślała. Pewnego dnia Hamish będzie leżał w tym łóżku ze swoją żoną, jakąś inną kobietą - a ona, Brenda Jane Dollivei pozostanie tylko wspomnieniem. Nie była odpowiednim materiałem na żonę. Nawet pani Deaton dała jej to do zrozumienia

Ale mniejsza z tym. On i tak nie zechciałby jej poślubić.

W następnym tygodniu stan jej zdrowia wyraźnie się poprawił. A kiedy wróciła do wcześniejszej terapii, zaczęła robić błyskawiczne postępy.

Udowodniła; że lekarze się mylili! Potrafiła tego dokonać. Zamierzała zacząć chodzić o własnych siłach, i to wkrótce.

Cóż to była za radosna perspektywa!

Ale miała również swe ciemne strony. B.J. zdawała sobie sprawę, że będzie musiała opuścić ten dom...

Codziennie po południu pracowała nad swoim albumem Pani Billings i dziewczynki miały przy tym dobrą zabawę.

Pewnego dnia przy kolacji Emma powiedziała:

- Tato, czy wiesz, że Brenda pojechała za ocean, aby zrobić zdjęcia głodujących dzieci i ludzi walczących na wojnie?

- Wiem - odparł. - Ona jest fotografem.

- Brendo, czy możesz nam też zrobić zdjęcie? - zapytał Emma.

Brenda rozejrzała się bezradnie, myśląc o aparatach pozostawionych u siebie w domu. Nie dotykała ich od miesięcy.

- Oczywiście, kochanie - odparła. Ileż to razy widział dziewczynki na fotografiach, ileż razy miała ochotę uwiecznić na kliszy ich nastroje i śmieszne miny! Co prawda, częściej myślała o sfotografowaniu Hamisha - w koloratce lub bez, gdy czytał córkom bajki albo gdy stał na boisku z kijem baseballa

wym w ręce... - Pojadę po swoje aparaty - dodała, w myślach już ustawiając dziewczynki do zdjęcia. To będzie dla niej najlepsza pamiątka z pobytu w rodzinie Chandlerów - z najszcześniejszego okresu jej życia. Oczywiście, istniały pewne przeszkody, ponieważ nie będzie mogła przyjąć w czasie pracy takiej pozycji, jaką by chciała. Brak fizycznej sprawności ograniczał w dużym stopniu posługiwanie się aparatem.

Pewnego wieczoru w milczeniu przez godzinę robiła zdjęcia Hamishowi, czytającemu bajki dziewczynkom. Innym razem uchwyciła napięcie na jego twarzy, gdy pospiesznie szedł w stronę drzwi, aby kolejny raz ocalić Neila Haraldsona.

Kilka razy poszła do kościoła, aby zrobić zdjęcia członkom kongregacji i Hamishowi pracującemu w zakrystii. Nie chciał się zgodzić, by fotografowała go w czasie modlitwy ani by robiła zdjęcia podczas mszy.

- To są sprawy intymne, Brendo - powiedział tonem łagodnym acz nie znoszącym sprzeciwu.

Ostatecznie udało jej się zrobić mu zdjęcie w koloratce - tak jak chciała - gdy pewnej soboty po południu trafiła w kościele na ślub i wmieszała się w tłum innych fotografów.

W czasie śródowych spotkań robiła zdjęcia szyjącym kobietom, grającym w siatkówkę małym dzieciom, starszym dzieciom, rodzicom i dziadkom.

Zrobiła zdjęcia kościoła wczesnym rankiem, gdy spadł śnieg i dach pokryła biała koronka, oraz w nocy, gdy kopuła żarzyła się złotem.

Robiła nieskończenie dużo zdjęć Hamishowi. Pewnego poranka, gdy golił się w łazience, zostawiwszy lekko uchylone drzwi, zrobiła mu zdjęcie jedynie w ręczniku przepasanym wokół bioder. Głośno zaprotestował, ale przestała pstrykać tylko

dlatego, że zahipnotyzował ją widok męskiego, na wpół nagiego ciała - szerokich, kwadratowych ramion, potężnych mięśni, lekko zarośniętej piersi i płaskiego brzucha. Powoli, czując suchość w ustach, wycofała się do pokoju.

Robiła mu zdjęcia, gdy był zmęczony, gdy był szczęśliwy i wypoczywał, gdy jadł i gdy pracował.

Po Święcie Dziękczynienia zawiozła pudełko z filmami do swojej redakcji. Zaproponowała wydawcy, że zapłaci za skorzystanie z ciemni - ostatecznie przebywała na urlopie, a zdjęcia były jak najbardziej prywatne - ale gdy pokazała mu odbitki, ogromnie się zainteresował. Zafascynowała go opowieść o owdowiałym, przystojnym pastorze kościoła w Kolstad, który zarazem był baseballistą.

- Ciekawy kościół - skwitował. - Wygląda na to, że kongregacja jest zarządzana przez swoich członków. Przypomina bardziej centrum społeczno-kulturalne niż kościół. Uprawianie sportu, studiowanie Biblii, doradztwo prawne i psychologiczne, śluby, pogrzeby, nauka religii, komitet taki, komitet owaki... Czy takie są wszystkie kościoły?

- Nie wiem - szczerze wyznała. - Tak przypuszczam.
- Mogę przyjrzeć się mu bliżej?
- Oczywiście, zrobię następne odbitki.

Szef namawiał ją, by szybciej wróciła do pracy, ale nie chciała o tym słyszeć, póki nie odzyska całkowitej sprawności w nogach.

- Porozmawiamy o tym w styczniu, zgoda? - zaproponowała. - Zresztą i tak przez dłuższy czas nie będę mogła Wykonywać specjalnych zadań. - Najwyżej reportaże na miejscu, pomyślała.

Tymczasem zbliżał się dzień, w którym powinna opuścić

gościnny dom Chandlerów. Cóż, im szybciej zdrowiała, tym boleńsze myśli nachodziły ją w kwestii przyszłości. A pozycja jej w rodzinie, jak na ironię, zaczynała się umacniać. Rano przed wyjściem Hamish zwykł całować ją i dziewczynki na do widzenia, a po powrocie przyciskał całą trójkę do piersi. Dotykał ją teraz częściej, gładził po włosach, odgarniał zbłąkane kosmyki z jej twarzy albo dużymi, ciepłymi dłońmi obejmował jej ramiona. Każdy jego dotyk zapalał w niej nową iskierkę i pragnęła czegoś więcej.

Interpretowała te gesty jako akceptację swego miejsca w rodzinie. Była przyjaciółką domu i pożądanym gościem. Ale jednocześnie odbierała te niewinne pieczyoty jako sygnał, że już jej nie pożąda, że traktuje ją tak samo jak dzieci i bliskich przyjaciół.

Toteż jej myśli - chociaż nareszcie powracała do zdrowia - pełne były sprzeczności. Nieuchronnie zbliżała się chwila, która przerażała ją bardziej niż cokolwiek - chwila, gdy będzie musiała na zawsze opuścić Hamisha.

BJ. była w kuchni, gdy to się wydarzyło. Posunęła właśnie prawą nogę do przodu i przysunęła do niej lewą. Bez kul! Bez opierania się na czymkolwiek. Postąpiła krok o własnych siłach!

Zapagnęła krzykiem obwieścić swój sukces. Pani Billings stała odwrócona do niej plecami, Emma zaś nakrywała do stołu. Hamish robił toaletę w dolnej łazience, Annie natomiast oglądała telewizję.

Ostrożnie postąpiła następny krok... Ale nie krzyknęła. Za-trzymała tę wiadomość dla siebie. A przecież w rodzinie takie sukcesy powinno się wspólnie świętować...

Wiedziała jednak, że każdy samodzielny krok przyspieszał

jej wyjazd. Rozejrzała się wokół, omiatając wzrokiem kochani twarze - również twarz Hamisha, który właśnie pojawił się w kuchni - i oblało ją wewnętrzne ciepło; na ułamek sekundy poczuła się częścią tej niezwyklej rodziny. Ale ulotna chwila minęła. W gruncie rzeczy była tu outsiderem, kimś podpatrującym cym przez okno cudze życie.

Hamish uśmiechnął się do niej; nie zdawał sobie oczywiście sprawy, jakiego wyczynu właśnie dokonała. Stał przed nią i pa-trzył na nią badawczo, ona zaś podziwiała w myślach jego pięknie ukształtowaną sylwetkę.

- Pomogłabyś przy świątecznej szopce? - spytał znieścacka.
- Przy czym?

Zmusił się do krzywego uśmiechu, najwyraźniej nie akcep-tując jej zdziwienia.

- Przy świątecznym żywym obrazie - wytłumaczył. - Żłó-bek, trzej królowie i radość wszelkiego stworzenia, rozumiesz Jesteśmy w kropce, ponieważ matka Mickey Kostavich miała wylew i Mickey musi się nią opiekować. A to ona zawsze orga-nizowała szopkę. Tammy, co prawda, zadeklarowała, że się tym zajmie, ale to dla niej za dużo.

B.J. była zdziwiona jego prośbą i rozbawiona zarazem, że tak błaha sprawa jak kościelna świąteczna szopka mogła napra-wdę go zmartwić. Potrzęsnęła z niedowierzaniem głową.

Kochała tego mężczyznę!

Uderzyło ją to jak grom z jasnego nieba. Kochała go całym sercem. Kochała wszystko, co go dotyczyło.

Unióśł brwi, jakby z góry podając w wątpliwość je odpowiedź. Był przekonany, że mu odmówiła.

- To tak wiele znaczy dla dzieci - dodał cicho. - Naszych też.

Naszych? Czyżby powiedział „naszych”? A może miał na myśli wszystkie dzieci ze swej kongregacji? Cóż, nie mogła prosić o wyjaśnienie.

- Annie i Emma też biorą w niej udział? - spytała słabym głosem.
- Annie nareszcie będzie aniołem - odparł, uśmiechając się łagodnie. -

A Emma awansowała do roli głównego pasterza.

- Ile dzieci bierze udział w przedstawieniu?
- Wszystkie chętne. W tym roku około pięćdziesięcioro.
- Hamish, to duża sprawa!

Uśmiechnął się tak błogo, jakby ktoś opatrzył mu ranę w sercu.

- To prawda - przyznał.

Zacisnęła powieki; uczucia jej oscyływały między frustracją a euforią.

- Zgoda - powiedziała. - Co mam zrobić?

- Na razie otwórz oczy, Brendo - odezwał się czule, przysuwając się do niej bliżej. Wystraszyła się, że ma zamiar ją pocałować, a jednocześnie rozczarowało ją, gdy tego nie uczynił. - Zapytaj Emmę - szepnął. - Ona tobą pokieruje. Dokładnie wie, jak wszyscy mają wyglądać w swoich kostiumach. A poza tym, oczywiście, porozmawiaj z Tammy. Myślę, że znajdziesz pole do popisu dla swoich talentów.

- Jakich talentów? Uśmiechnął się pod nosem.
- Myślę, że masz ich wiele.

Puls zabił jej szaleńczo; w uszach czuła szum. Zrozumiała, że jej pragnął i choć było to niezwykle ekscytujące, ogarnął ją smutek. W jego oczach chciała zobaczyć miłość - prawdziwą miłość, usłyszeć tę nutę w jego głosie, wyczuć w sercu. Ale to były nierealne marzenia. Nie mogła się przecież równać z jego

zmarłą żoną albo z Tammy Bantz, która była nieskończeni cierpliwa, delikatna, właśnie taka, jaka powinna być żona du chownego.

Spuściła wzrok, by nie wyczytał z jej oczu prawdy. On nigdy jej nie pokocha, nigdy nie zaakceptuje...

- Zajmę się tą cholerną szopką - burknęła gniewnie, ponie-waż przepelniała ją miłość, ból i złość. Odstąpiła o krok, wsu-nęła kule pod pachy i poszła w stronę schodów.

Hamish naprawdę potrzebował jej pomocy. Tammy Bantz jedyna nadająca się do tej pracy osoba, w obecnym stadium ciąży nie dysponowała pełnią sił. Przygotowanie szopki zwykli zabierało dużo czasu, a on nawet nie potrafił sobie wyobrazi zorganizowania przedstawienia z udziałem pięćdziesięciorga dzieci!

Dwa miesiące temu nawet by mu do głowy nie przyszło, że Brenda może się tym zająć. Ale do dziś zdążył zmienić o nie zdanie. Pozyskała jego zaufanie.

Poza tym - jego córki ją kochały...

Słyszał, jak rozmawia teraz z nimi w kuchni; ożywioną kon-wersację przerywały raz po raz gromkie wybuchy śmiechu Oparł się o ścianę i nasłuchiwał. Przymknął oczy i wyobraził sobie Brendę, gdy mówiła - iskierki ognia w jej zielonych oczach, uśmiech, który mógłby ozdobić niejedną okładkę, mięk-kie brązowe włosy, opadające przy łada poruszeniu. Naprawdę była piękną kobietą.

- Ja będę aniołkiem! - powiedziała Annie głosem wybijają cym się ponad pozostałe.

- W zeszłym roku Michael wyglądał jak prawdziwy pasterz - wtrąciła Emma. - Miał naprawdę fajną kamizelkę, a pod spo

dem koszulkę założoną na lewą stronę i był czymś przewiązany w pasie.

- Mogłabyś pożyczyć od niego ten kostium? - podpowiedziała Brenda.

- Ależ nie! - oburzyła się Emma. - Chcę mieć własny kostium!

Wszyscy mają zawsze własne kostiumy.

- A za kogo przebierze się Michael w tym roku?

- Za oberżystę. A w przyszłym roku, jak będzie grzeczny, zostanie królem.

- A ja będę aniołem! - przypomniała Annie.

- Co noszą aniołowie? - dopytywała się Brenda.

- Coś różowego! - zawołała Annie.

Śmiech Brendy sprawił, że ścisnęło go w żołądku. To był śmiech pełen ciepła - głęboki, szczery. Za każdym razem, gdy go słyszał, miał ochotę ująć jej twarz w dłoń i pocałować ją w usta.

- Myślałam, że aniołowie zawsze ubrani są na biało - wykrztusiła wreszcie.

- To prawda - przyznała jej rację Emma.

- Na różowo! - upierała się Annie.

- Jak myślisz - zwróciła się Brenda do Emmy - czy Annie może ubrać się na różowo?

Emma zastanawiała się chwilę, mrużąc brązowe oczy.

- Przypuszczam, że tak - powiedziała. - Każdy robi własny kostium.

- Uważam, że blond aniołek w różowym kostiumie będzie pięknie wyglądał - wyraziła swą opinię Brenda.

- Różowy aniołek! - cieszyła się Annie.

- A teraz niech różowy aniołek skończy swoje płatki... Hamish wykorzystał ten moment, aby wejść do kuchni.

- Dzień dobry - powitał wszystkich, nalewając sobie kawy Gdy usiadł przy stole i spojrzął na Brendę, uśmiech, jakim go obdarzyła, pobudził go do życia.
- Wybieramy się dziś na polowanie - powiedziała. - Musi my znaleźć różowy materiał na kostium dla aniołka.
- Nigdy nie słyszałem o różowych aniołkach - zwrócił się do Annie.
- W ogóle nie znasz się na rzeczy - oświadczyła Brenda a Emma zachichotała.
- A co z kostiumem pasterza? - spytał, nasypując płatki na talerz.
- W sobotę, gdy nie ma szkoły, spędzimy cały dzień na polowaniu - odparła Brenda z szelmowskim uśmiechem, wy wołując kolejną serię chichotów.
- Polowanie? - zdziwił się. - Masz na myśli zakupy?
- Niezupełnie. Polowanie oznacza... węszenie. Każdy może iść po zakupy. Ale prawdziwe wyzwanie, to powęszyć dookoła przejrzeć szuflady, szafy, pudła. Może coś się znajdzie na strychu albo w tym małym pokoju, gdzie trzymasz rzeczy przeznaczone dla kościoła?
Opuścił łyżkę na talerz.
- Masz na myśli datki na kościół? Rzeczy ofiarowane dla biednych?
- To okropnie brzmi, Hamish. Powinieneś je nazwać... -Zadumała się na chwilę. - Już wiem! - uśmiechnęła się pro miennie. - Raj dla myśliwych!
- Ale przecież nie możemy zabierać rzeczy biednymi lu-dziom - zaprotestowała cicho Emma.
- Każdy kościół od najdawniejszych czasów gromadzi rze-czy dla biednych - powiedział Hamish. - To taka tradycja, Em

mo. Ale naprawdę są to *rzeczy*, których ludzie już nie potrzebują i właściwie każdy, niekoniecznie bardzo biedny, może wziąć sobie coś, co mu jest potrzebne.

Emma skinęła ze zrozumieniem głową. Zmrużyła oczy, wyraźnie coś rozważając. Potrafił czytać w jej myślach, nie był więc zaskoczony, gdy zwracając się do Brendy, oświadczyła:

- W takim razie powinniśmy je nazwać rajem dla myśliwych! Tego dnia Hamish miał mnóstwo pracy. Zwolennicy Edsona Fordy działali mu na nerwy, nie miał przygotowanego kazania na niedzielę, a stos korespondencji zalewał biurko.

Gdy pracował w ciągu dnia, wiedział, że Brenda i Annie buszują po kościele; słyszał ich przyciszone głosy, otwierające i zamykające się drzwi.

W pewnej chwili, gdy wyszedł na korytarz, zobaczył Brendę pokazującą Annie kawałek śnieżnobiałego materiału. Dziewczynka miała niezadowoloną minę.

Pani Deaton podeszła do niego od tyłu i zagaiła:

- Ta kobieta poruszy twój świat - oznajmiła tonem wyroczni, pokazując gestem odwróconą do nich plecami Brendę.

Już miał się uśmiechnąć i przyznać jej rację, gdy nagle znaczenie tych słów uderzyło go jak obuchem. Brendajuz wywołała poruszenie wśród członków kongregacji. Czerwony, sportowy samochód zaparkowany przed domem, prowokował pytania. Tylko raz była na niedzielnej mszy... Poza tym widać było wyraźnie, że już nie potrzebuje opieki...

To całkiem niewiarygodne, ale poczuł ostry ból w sercu, gdy usiłował zbyć panią Deaton jakimś krótkim żartem. Słowa nie przychodziły mu na myśl.

Brenda naprawdę poruszyła jego świat - być może dlatego, że doń nie należała...

Ostatnio jakby o tym zapomniał... a może nie chciał pami tać? Gdy byli razem w domu, tak jak bliska, kochająca si rodzina - nieraz przylapywał się na tym, że walczy ze sobą rozpaczliwie, aby nie wziąć jej w ramiona i nie kochać się z nie tak namiętnie, jak tylko mógł sobie to wyobrazić.

Wiele razy obserwował z podziwem, jak bawiła się z dziewczynkami - jak razem gotowały, sprzeczały się albo wymyślały jakiś zabawny spisek. O tak! W tym Brenda była niezastąpiona. Posiadała ożywczy sposób patrzenia na rozmaite sprawy, od-ważną naturę i niezależnego ducha.

Ale radość jego przyćmiewał ból, wiedział bowiem, że to, wszystko ma tymczasowy wymiar. On nie był jej przyszłością. Nigdy nie zechce dopasować się do jego życia... To oczywiste, mimo że tak świetnie bawiła się teraz z jego córkami.

Niespodzianie pani Deaton chwyciła go za rękę. Odwrócił się, by spojrzeć jej w twarz.

Zobaczył w jej oczach tak głębokie zrozumienie, że aż wprawiło go w zakłopotanie.

- Do zobaczenia na zebraniu komitetu - szepnęła, ściskając go konfidencjonalnie za rękę, a potem szybkim krokiem odeszła.

Z przerażeniem zaczął się zastanawiać, czy uczuć do Brendy nie ma przypadkiem wypisanych na twarzy.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

BJ. zaangażowała Się w przygotowania do wystawienia szopki. Po pierwsze dlatego, że było to niezwykle ważne dla Emmy i Annie, po drugie - ponieważ sprawiało jej to rzeczywistą przyjemność. A poza tym pomagał jej przy tym Hamish - pełen wdzięczności i najwyższego podziwu.

Była naprawdę potrzebna.

Lekarz zalecił Tammy odpoczynek, tak więc cała odpowiedzialność za przygotowania spadła na B J., choć Mickey Kosta-vich załatwiła kogoś do opieki nad matką na ostatnie pięć dni przed Wigilią, i przyszła jej z pomocą.

Brenda szybko zorientowała się, że jej pomysły na szopkę były zbyt mało tradycyjne dla Mickey. Uważała na przykład, że scena powinna być udekorowana raczej świecami niż światłem elektrycznym oraz że powinno się wykorzystać prawdziwe zielone gałęzie zamiast sztucznych. Poza tym nie podobała jej się plastikowa lalka, która miała odgrywać Dzieciątko w żłobie. W końcu postanowiła sama zająć się poszukaniem odpowiedniej.

Początkowo także miała inne zdanie niż Annie na temat jej kostiumu. Ale gdy ufarbowały na różowo koronkową firankę i wykończyły z niej kostium - Annie była w siódmym niebie. B J. nie zdradziła przed Tammy, że mała będzie różowym aniołem. Przekonała także obie dziewczynki, że powinny utrzymać to w sekrecie i sprawić widzom prawdziwą niespodziankę.

Pewnego dnia uczestniczyła w zebraniu komitetu odpowiedzialnego za dekoracje. Przy tej okazji poznała wiele kobiet i mężczyzn, a także sporo młodzieży zaangażowanej w prace kongregacji. Wszyscy rozłożyli stare i nowo zakupione dekoracje na podłodze przedsionka i głównej nawy, wybierając najlepsze do udekorowania ołtarza i sceny.

A więc na tym polegał świąteczny nastrój i duch świąt! - pomyślała ze zdziwieniem. Potem nieoczekiwanie pojawił się poncz i kanapki. Nawet ci, którzy do tej pory wiedli spory, złagodnieli i stali się jakby bardziej radośni; wszyscy jedli, śmiali się i żartowali.

Pojawił się również Hamish. Poczęstował się ponczem i kanapką, po czym wędrował po kościele i chwalił dekoracje, tak jakby widział ten kościół udekorowany po raz pierwszy.

Tego wieczoru przy kolacji zarzuciła mu, że udaje.

- Co roku używają tych samych dekoracji, a ty się nimi zachwycasz, jakbyś widział je po raz pierwszy w życiu - mówiła. - Jak długo jesteś ich pastorem? Sześć, siedem lat? Powtarzasz w kółko to samo.

- Wiesz, co roku mam wrażenie, że dekoracje są zrobione inaczej - odpowiedział spokojnie i szczerze. - Może dlatego, że w ogóle uwielbiam świąteczny nastrój. Kocham te święta. Wiem, ile znaczą dla ludzi. Chciałbym, by wszyscy czuli to samo, co ja...

Mówił z taką chłopięcą szczerością, że omal nie przyprawił jej o łzy. Jakże go kochała, jakże pragnęła go przytulić...

- Co za szkoda! - westchnęła pewnego wieczoru. - Tyle ładnych rzeczy ofiarowano dla biednych, a ludzie są zbyt dumni, by choćby je przejrzeć!

- Co więc proponujesz? - spytał.
- Wypredaź.
- Chcesz, by ludzie płacili za to, co mogą mieć za darmo? - zdziwił się, trochę zniecierpliwiony. Miał dzisiaj ciężki dzień i był w nie najlepszym nastroju.

- Szukanie okazji nie przynosi ujmy niczyjej dumie - argumentowała.
- Wszyscy uwielbiają okazje, nawet najbogatsi. Można ustalić niskie ceny i pozwolić ludziom się targować. Tam jest naprawdę mnóstwo fajnych rzeczy, Hamish!

- Ale czy nasze intencje, by pomóc biednym, oszczędzając ich dumę, nie będą zbyt przejrzyste? - Popatrzył na nią wymownie. - To tylko zmiana nazwy z dobroczynności na opiekę społeczną, tak by ludzie nie czuli się źle, że otrzymują pomoc.

Miał rację, musiała to przyznać.

- A jeśli nazwiemy to „zbiórką funduszy” na jakiś zbożny cel? - spytała później, przerywając mu pracę w gabinecie.

Odchylił się na krześle; ponury wyraz twarzy ustąpił miejsca znużeniu. Potarł dłonią policzek i odpowiedział:

- Mów dalej...

Usiadła naprzeciw niego przy biurku, z całego serca pragnąc wygładzić ponure linie, jakie pojawiły się wokół jego oczu i ust.

- Moglibyśmy powiedzieć, że zbieramy pieniądze na lampki na choinkę. Wypredaź można by zorganizować po niedzielnych mszach. Zapalanie lampek na choince odbywa się w czwartek, prawda?

Przyglądał jej się z uwagą.

- To chyba dobry pomysł, Brendo - powiedział. - Ale musisz sama się tym zająć. Obawiam się, że nie będę mógł ci pomóc.

- Co ci jest, Hamish? - spytała, odruchowo wyciągając dłoń, by pogłaskać go po ramieniu. - Jesteś dziś wykończony...

- Uwielbiam tę porę roku, ale jest trochę spraw, które mnie męczą - wyjaśnił, patrząc jej intensywnie w oczy, tak intensywnie, że poczuła na ciele prąd elektryczny - Czy uwierzysz, że właśnie o tej porze roku najwięcej jest kryzysów rodzinnych Poza tym, to trudny czas dla tych, którzy me mają nikogo

Nigdy o tym me myślała Ale czyz sama nie należała do tej grupy Często przecież spędzała święta wraz z innymi samotnymi ludźmi, na przykład w schronisku narciarskim czy klubie golfowym, czasami u kogoś w domu Święta Bożego Narodzenia dotychczas niewiele dla mej znaczyły

Wstała, stanęła za jego plecami i powoli zaczęła masować mu kark Odrzężył się wkrótce i lekko pochylił do przodu Przyglądając się jego plecóm w obszernym swetrze, lekko wygniecionemu kołnierzykowi koszuli, gęstym, sztywnym włosóm w kolorze miedzi, walczyła z potężnym pragnieniem, by ściągnąć zeń sweter i przyłożyć usta do jego ramion i szyi, zagłębić palce w gęstych, zmierzwionych włosach i wdychać głęboko ich zapach

Wreszcie przerwała masaż, pochyliła się i przyciskając policzek do jego policzka, wyszeptala

- Idź do łózka, Hamish Prześpij się lepiej - Po czym szybko oderwała się od mego i wybiegła z gabinetu

Ból był intensywny, dławił ją. Przeszła szybko obok pani Billings i dziewczynek, które oglądały telewizję i schroniła się w swoim pokoju, dając upust łzóm

W następnym tygodniu B J była bardzo zajęta Nie tylko przygotowywała szopkę, ale także robiła zdjęcia Chciała zebrać i zachować jak najwięcej wspomnień Czula po temu wewnętrzną, płynącą z głębi duszy potrzebę

Zatelefonowała do Tammy Bantz, by uzyskać informacje w sprawie zbiórki pieniędzy.

- Nic nie wiem na ten temat - powiedziała Tammy. - Nigdy nie włączam się w takie sprawy. Żona pastora powinna być bardzo ostrożna, jeśli w grę wchodzi pieniądze.

B J. poczuła się tak, jakby jej odcięto skrzydła. Miała wrażenie, że słowa Tammy odnoszą się bezpośrednio do niej. To był jeszcze jeden dowód, że jest nieodpowiednią towarzyszką życia dla Hamisha. Czyż to nie żona Hamisha była nauczycielką Tammy?

Ostatecznie postąpiła tak, jak uważała. Przygotowała zawiadomienie o wyprzedazy i odbiła je w kilku egzemplarzach, używając jaskrawego, purpurowego papieru. * Jednocześnie kontynuowała prace nad szopką. Próby odbywały się codziennie. W środę grała w siatkówkę, opierając się jeszcze na jednej kuli i trochę utykając, ale pełna zapału i w dobrym humorze. Wiedziała, że Hamish jest w pobliżu, zawsze gotów jej pomóc i dodać otuchy ujmującym uśmiechem.

W ciągu dnia często go widywała, choć również był bardzo zajęty. Wieczory spędzali razem z dziewczynkami i panią Billings.

W sobotę, dwanaście dni przed świętami, ubrali choinkę w salonie. Choinka była trochę krzywa, ale dostali ją w prezencie od jednego z członków kongregacji.

- Pięknieją ubierzemy - powiedziała do dziewczynek, które miały takie miny, jakby dostały ciasto z zakalcem. Klasnęła w dłonie, by zarazić je entuzjazmem.

I ostatecznie rzeczywiście drzewko zostało pięknie udekorowania. Hamish wziął Annie na ręce, by umieścić na czubku małego, białego aniołka.

- W przyszłym roku pomalujemy go na różowo - zauważyła

B.J. z uśmiechem i zaraz ugryzła się w język. Przecież w przyszłym roku jej już tutaj nie będzie! A drzewko być może ubierze prawdziwa pani Chandler...

Myśl o przyszłości nadal napawała ją smutkiem. Opadła na miękką kanapę i wpatrywała się w choinkę tak intensywnie, jak by na zawsze chciała ją uwiecznić w pamięci.

- Nie smuć się! - Annie podeszła i zarzuciła jej ręce na szyję. - Choinka jest piękna!

- Ty też - powiedziała i na chwilę ukryła twarz w jasnych włosach dziecka, a potem poprawiła na nich różową kokardę.

Niedzielną wyprzedź okazała się sukcesem. Do drugiej po południu prawie wszystko zostało sprzedane, a pozostałości wróciły do pudeł.

Za zarobione pieniądze kupiono kolorowe lampki i ozdobiono nimi ustawioną na zewnątrz kościoła dużą choinkę, wokół której odbyły się doroczne czwartkowe uroczystości. Ludzie, otuleni w ciepłe okrycia, śpiewali kolędy, potem raczono się gorącą czekoladą, a młodzież bawiła się, rzucając śnieżkami.

Na tydzień przed świętami B.J. zabrała negatywy i powtórnie pojechała do redakcji. Zdjęcia okazały się niezwykle udane. Postanowiła zrobić z nich album i ofiarować go Chandlerom na Gwiazdkę.

W sobotę przed świętami spotkała w drzwiach kościoła jakąś kobietę.

- Witaj, Brendo! - odezwała się nieznajoma. - Wróciłaś już do zdrowia, prawda? Ale nadal mieszkasz u pastora?

B.J. odpowiedziała coś dyplomatycznie i pospieszyła do samochodu. Podczas krótkiej jazdy do domu, doszła do wniosku, że zapewne każdemu rzuciło to się w oczy... Była wystarczająco zdrowa, by zamieszkać sama.

Podświadomie nie dopuszczała do siebie takich myśli. Pragnęła w nieskończoność wydłużyć tu swój pobyt. Okłamywała się, że robi to dla dziewczynek, by nie popsuć im świąt... Ale prawda była inna. Chciała odwlec moment, w którym pęknie jej serce.

Gdy zgasiła silnik przed domem, podjęła już decyzję. Tego wieczoru, gdy pani Billings i Annie poszły spać, a Emma oglądała telewizję, weszła do gabinetu Hamisha:

- Musimy porozmawiać - oświadczyła.

Zareagował tak, jakby spodziewał się tej rozmowy; zawahał się tylko sekundę, nim odrzekł:

- Czy to naprawdę konieczne?

- Tak - odparła szybko i usiadła na krześle obok biurka.

Powstał z ociąganiem i wolno zaczął przemierzać mały pokój. Zauważyła, że plecy miał zgarbione, jakby dźwigał ogromny ciężar.

- Dobrze się czujesz? - spytała z troską w głosie.

Gdy się odwrócił, była zaszokowana widokiem jego zropczanej twarzy.

- Odchodzisz? - spytał ochryłym głosem.

Kolejna fala bólu załała jej serce. Jakże ona to zniesie? Zostawi go... Zostawi dziewczynki...

- Chcesz odejść przed świątami? - dopytywał się teraz już ostrzejszym tonem. - Co powiedzą dziewczynki? One cię kochają, uważają za członka rodziny.

- Przyjadę w pierwszy dzień świąt - zdołała wykrztusić.

- Brenda wyjeżdża? Dlaczego...? Czy zrobiliśmy coś złego? - Głos

Emmy dobiegający zza drzwi wystraszył ich. Po chwili stanęła w drzwiach i tak mocno chwyciła się framugi, jakby miała upaść.

- Nie, kochanie, nikt nie zrobił nic złego - powiedział ci-cnym głosem Hamish. - Ale Brenda ma własny dom, swoja pracę i przyjaciół.

- Przecież to jest jej dom! - zaprotestowała Emma ze łzami w oczach.

- A my jesteśmy jej rodziną... Już nas nie kochasz? Brendo? - Po jej policzkach pociekły łzy.

- Oczywiście, że was kocham. Kocham was wszystkich! Bardzo, bardzo. Ale... tu był mój dom tylko na pewien czas. Twój tata pozwolił mi tu zamieszkać do chwili, gdy powrócę do zdrowia. Właściwie i tak byłam za długo... Ale nie chciałam was opuścić. Podoba mi się tu.

- Możesz zostać, prawda, tato? My nie chcemy, byś odeszła. Ty też nie chcesz. Dlaczego nie możesz zostać?

Nie mogła odpowiedzieć, ponieważ by się rozplakała. Raptownie wstała z krzesła i odwróciła się plecami.

Hamish stanął za nią, chwycił ją za ramiona i przycisnął do niej swe potężne, ciepłe ciało.

- Dlaczego nie możesz zostać, Brendo? - powtórzył. Przymknęła oczy i oparła się o niego. Czowała, że obejmuje ją wokół ramieniem. Położyła mu głowę na piersi, walcząc ze łzami, które cisnęły jej się do oczu.

- Tata chce, byś została, Brendo! - wołała Emma. - Dlaczego nie możesz zostać? Wiem, że nas lubisz, szczególnie tatę... Dlaczego nie zostaniesz?

B.J. zdecydowanie chwyciła jego ręce i odsunęła się o krok.

- To mi bardzo utrudnia... Ciężko mi... - zakrzuszyła się własnymi słowami.

- Lepiej, jeśli sam porozmawiam z Brendą - zwrócił się Hamish do córki. - Obejrzyj może telewizję, a potem położy cię spać, zgoda?

- Namów ją, by została! - powiedziała Emma w swój zwykły radosny sposób, pocałowała go w policzek i wyszła z gabinetu.

Hamish zamknął za nią drzwi i odwrócił się do Brendy.

- Dlaczego właśnie teraz? - spytał. - Dlaczego?

Za wszelką cenę pragnął skłonić ją do zmiany zdania, przekonać, że jest im potrzebna. Ale przecież ona nie dała mu żadnego dowodu, że traktuje go inaczej niż jak bliskiego przyjaciela. Przez ostatnie kilka tygodni dotykał ją, obejmował, pokazywał na wszystkie sposoby, że jej pragnie, ale ona na nic nie reagowała... Zwykle sztywniała i odsuwała się od niego.

Cóż, gdyby nawet zatrzymał ją przy sobie i tak nie zmieniłoby to jej uczuć... Doskonale o tym wiedział. I nienawidził tej myśli. Co więcej, zatrzymywanie jej tutaj na siłę, gdy już mogła odejść i zacząć własne życie - było czystym egoizmem z jego strony.

- Przepraszam - powiedział w końcu. - Masz prawo odejść, kiedy zechcesz.

- Być może powinnam poczekać i wyprowadzić się po świętach - wtrąciła nieśmiało. - Ale pomyślałam... - Głos jej zamarł. Stanowczo nie zamierzała dokończyć tego zdania.

- Kiedy? - spytał, opadając ciężko na krzesło.

- Wcześniej rano. Nim wszyscy wstaną. Chrząknął i popatrzył wprost na nią.

- To takie niespodziewane dla dziewczynek... Skrzywiła twarz i utkwiała wzrok w podłodze.

- Nigdy nie będzie łatwo, bez względu na to, kiedy to zrobię, prawda? To znaczy... będę za nimi tęsknić, niezależnie od tego, kiedy odejdę.

Wiedział, że mówi szczerze. Pokochała dziewczynki.

- Porozmawiam z nimi - powiedział. - Postaram się, by

zrozumiały. W każdym razie przyjedziesz do nas w pierwszy dzień świąt?
I spędzisz z nami cały dzień?

Szybko skinęła głową. Wiedziała, że jest bardzo poruszony

- Poinformuję dziewczynki i panią Billings. - Głos jego brzmiał o wiele pewniej, niż sam się czuł. Miał ochotę położyć głowę na biurku i rozplakać się jak dziecko. Czuł, że życie z niego uchodzi, tak jakby był śmiertelnie ranny.

Brenda postąpiła kilka kroków w stronę ściany, na które oparła kule, potem jednym zwinnym ruchem - tak różnym od tego, co widział do tej pory - wsunęła kule pod ramię. Po chwili już jej nie było.

Położył głowę na biurku i walczył z ogarniającym go bólem. Musi być silny, by jutro spokojnie wyjaśnić sytuację córkom. Będą miały złamane serce - tak samo jak on.

Znalazł Emmę śpiącą w salonie na kanapie i zaniósł ją na górę

- Lepiej nie mówmy nic Annie dziś wieczorem - wymam-rotala. - Nie będzie mogła zasnąć.

Przytulił ją mocno do siebie, w duchu przepraszając, że nie udało mu się znaleźć dla niej takiej macochy, jakiej pragnął.

Przekroczenie progu własnego mieszkania podziało na B.J. depresyjnie. Dziwne, ale teraz czuła tutaj obcy zapach. Ogarnęła ją uczucie ponurego odrętwienia, jakby to mieszkanie w ogóle do niej nie należało.

Zerknęła na zegarek i pomyślała, że Chandlerowie pewnie wracają teraz z niedzielnej mszy. Myślała o ludziach, których tam poznała i polubiła - ludziach, którzy ją zaakceptowali z którymi wypadało się pożegnać. Żalowała, że nie potrafiła zmusić się do odjazdu, gdy dziewczynki już wstały. Wyślizgnęli się z tego domu jak złodziej!

Zatelefonowała do ojca. Zapewne odsypiał niedzielnego kaca, ponieważ nie odebrał telefonu. Pozostawiła wiadomość na sekretarce. Zadzwoiła także do swego wydawcy i dowiedziała się, że musi dostarczyć świadectwo lekarskie, jeśli chce wrócić do pracy. Oczywiście, mogła działać jako wolny strzelec, ale aby wrócić na etat, potrzebowała zaświadczenia.

W poniedziałek rano zadzwoniła więc do doktora Wahlera i zapisała się na wizytę w środę.

W sklepie spożywczym zrobiła nieduże zakupy, a potem wędrowała po świątecznie przystrojonych domach towarowych Minneapolis, by kupić prezenty dla Chandlerów i pani Billings.

Gdziekolwiek poszła, czuła, że jest z nią Hamish. Jego uśmiech. Jego głos. I dotyk... Miała go cały czas przed oczami

- w zrobionych na drutach swetrach i kamizelkach, dopasowanych blezerach i obcisłych dzinsach. Jaka by to była radość, gdyby mogła kupować dla niego ubrania i przesuwając po nich rękoma, gdy zakładałby je po raz pierwszy...

Och, czy kiedykolwiek przestanie go kochać? Czy doczeka godziny, w której nie będzie o nim myśleć?

Tymczasem zamówiła wystrzałowy prezent świąteczny dla swego ojca u Neimana Marcusa. Stało się już tradycją, że ofiarowywali sobie rzeczy drogie, lecz kompletnie bezużyteczne. W tym roku szczególnie nie miała do tego serca.

Jedząc bez apetytu obiad, nieustannie spoglądała na telefon. Gdyby tam została, gdyby naprawdę była członkiem ich rodziny

- siedziałaby teraz naprzeciwko niego przy stole, a Annie, Emma i pani Billings obok niej...

Wzrok jej często wędrował ku pustej ścianie, skąd Hamish zdjął oprawione fotografie. Pozostały w sypialni Hami-sha. Czy będzie o niej myślał, gdy na nie spojrzy? Czy pomyśli

o niej jak o kobiecie, czy tylko jak o przyjaciółce swych córek

W środę odwiedziła doktora Wahlera Wystawił jej odpowiednio świadectwo, dzięki któremu mogła wrócić przynajmniej na poł etatu do pracy oraz załatwił jej miejsce w ośrodku rehabilitacyjnym niedaleko redakcji Dziwne, ale tak naprawdę żadna z tych rzeczy jej nie uszczęśliwiała

Wigilię spędziła sama, wpatrując się w nie dojedzoną kolację Wcale nie żałowała, że odrzuciła zaproszenie do domu swego wydawcy Myślała o szopce, która miała rozpocząć się o ósmej i pasterce, zaczynającej się o dziesiątej

Po prostu nie potrafiła pogodzić się z myślą, że me zobaczy szopki Nie dowiedzą się przecież, że tam była Wślizgnie się po rozpoczęciu przedstawienia i usiadzie z tyłu

Musiała tam pojechać

W drodze do Kolstad rozmyślała o swoim życiu bez Hamisha - o latach, które miały nadejść, gdy będzie jako przyjaciółka rodziny składać mu kurtuazyjne wizyty I pomyślała o tym dniu, w którym przedstawi jej jakąś kobietę - swoją żonę

Nie, tego było za wiele Miała wrażenie, że ostre noże rozrywają jej ciało

Zaparkowała daleko od kościoła Podpierając się swą nową laską, dotarła do wejścia i wślizgnęła się przez boczne drzwi Szopka już się rozpoczęła Po cichu, nie zwracając niczyjej uwagi, usiadła w ostatnim rzędzie

Nie potrafiła powstrzymać łez na widok małego, jasnowłosego aniołka przemykającego przez scenę, ani później, gdy pasterz głośno i wyraźnie deklamował swą rolę Łzy ciekły jej po twarzy, gdy pastor zaczął klaskać z zaraźliwym entuzjazmem

Obserwowała potem, jak pani Billings zabiera dziewczynki do szatni. Pomyślała, że za chwilę gospodyni zaprowadzi je do domu, by się dobrze wyspały.

Gdy wróciła do samochodu, włączyła silnik i ogrzewanie, ale nie mogła odjechać.

O dziesiątej pokuśtykała z powrotem do kościoła. Wdrapała się po schodach na balkon i tam, ukryta za chórem, wysłuchiwała przepięknej mszy odpawionej przez Hamisha. Przez większą jej część płakała, nawet wówczas, gdy śpiewano radosne koledy.

Gdy zeszła na dół, nikogo już nie było w kościele poza Hamishem. Wiedziała, że przebiera się teraz w małym pokoiku za ołtarzem. Pod wpływem nagłego impulsu skierowała się w tamtą stronę.

Stał przy wąskim oknie i obserwował płatki śniegu bezszelestnie opadające na ziemię. Stał nieruchomy i samotny, otoczony tylko ciszą. Wysoki i silny. Jej Hamish.

- Dobry wieczór - odezwała się.

- Wejdz, Brendo. - Głos miał łagodny i zduszony. Odwrócił się powoli i spojrzał w jej twarz. - Wiedziałem, że tu będziesz.

- Czekaleś na mnie?

Skinął głową. Zauważyła wyraz znużenia na jego twarzy. Postanowiła nie płakać, ale to było trudne zadanie. Zbyt trudne.

- Mam ci coś do powiedzenia - powiedział. - Proszę, usiądź.

- Nie mogę tu zostać - odparła zdesperowana. - Jutro... Muszę już iść.

- Czują, że jej żołądek zaciska się jak pięść do walki. W każdej chwili mogła zacząć płakać.

- Nie odchodź. - Podeszedł do niej i chwycił ją za ramiona. - Myślałem o tym, odkąd wyjechałaś. Miałem nadzieję, że porozmawiam z tobą na osobności przed jutrzejszym dniem. Są rzeczy,

które muszą zostać wypowiedziane Musimy oczyścić atmosferę pomiędzy nami, tak by wszystko stało się jasne

- Nie! - jęknęła, zatapiając twarz w dłoniach - Nie chcę tego słuchać, Hamish Wiem, że nie jestem materiałem na zonę Nie wiem, co jest we mnie tak złego, ale zgadzam się Zgadzam się, rozumiesz Zgadzam się na przyjaźń i po prostu nie mogę słuchać, jak

- Brendo

Nie mogła znieść jego dalszych słów, ale on me dał za wygraną

- Brendo, to jest wyłącznie twoja opima - powiedział

- Opinia - Zdawała się niczego nie rozumieć

- Jesteś doskonałym materiałem na zonę - zapewnił ją ciepłym głosem

- Jesteś odważna i pełna miłości Jesteś twórcza i uczciwa Dokonałaś cudu z Annie i dałaś dziewczynkom coś, czego me miały od bardzo dawna - Zauważyła na jego twarzy grymas bólu, gdy dodał - Wiem, że nigdy nie mogłabyś zamieszkać w małym mieście i przyzwyczać się do jednostajnego życia - Urwał na chwilę, a potem powiedział z wyraźnym wzruszeniem - Ty drżysz Nie chcę, byś się czegokolwiek bała

- Nie chcę tego słuchać - wyjąkała

- Cóż, twoje najgorsze obawy ziściły się - powiedział z I-ronicznym uśmiechem - Okazało się, że mi się bardzo podobasz

Zwolnił uścisk, przesunął dłońmi w górę i w dół jej ramion Widziała, że ze sobą walczy, że słowa, które wypowiada, przychodzą mu z trudem

- Chcę, żebyś wiedziała, Brendo Jane, że cię kocham kocham całym sercem i duszą Kocham tak, jak mężczyzna kocha

kobietę, z którą chce spędzić resztę życia. Jeśli odwzajemnisz moje uczucia, jeśli jakimś cudem zakochałabyś się we mnie, chciałbym, byś została moją żoną. Ciszka.

W umyśle Brendy huczała cisza, a serce jej to zatrzymywało się, to znów ruszało naprzód z dzikim trzepotem. Hamish znów ironicznie wykrzywił usta i dodał:

- Jesteś materiałem na żonę, Brendo Jane, a nawet więcej. - Śledził wzrokiem każdy ruch na jej twarzy, skupiając się w końcu na samych oczach. - Jesteś piękna i masz naturalny instynkt macierzyński.

Na jego szyi poruszyła się grdyka, gdy z trudem przełknął ślinę. Wreszcie wyciągnął dłonie i ujął twarz Brendy.

- Chciałbym, byś była matką moich dzieci... - wyszeptał czule. - Nie tylko Annie i Emmy, ale również tych, które dopiero się urodzą.

Widziała niemy ból w jego oczach, ale tylko patrzyła i nie odpowiadała.

- Rozumiem, że to mogło wprawić cię w zakłopotanie, ale musiałem ci to powiedzieć - dodał głuchym głosem. - Miałem nadzieję...

Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale z oczu pociekły jej łzy. Cicho załkała.

- Nie płacz, proszę - wyszeptał. - Za nic w świecie nie chciałem cię zranić.

Potrząsnęła głową, jakby znów chciała przemówić, ale w końcu dała za wygraną i przytuliła się doń całym ciałem.

- Och, Hamish! - zawołała. - Hamish, Hamish... Niepewnie objął ją ramionami. Był najwidoczniej zmieszany i zdziwiony. Oczekiwał jakiejś reakcji z jej strony, a tymczasem

ona - w najważniejszej chwili swego życia - nie potrafiła wyduzić z siebie żadnego sensownego słowa.

- Brendo, powiedz coś... - poprosił zdesperowany. Popatrzyła na niego nieprzytomnie.

- Czy moje fotografie nadal wiszą w twojej sypialni? - spytała

- To ostatnia rzecz, na którą patrzę przed zaśnięciem i pierwsza gdy się obudzę. Mam nadzieję, że nie chcesz ich z powrotem?

- Właśnie, że chcę! Też przywykłam do ich widoku rano i wieczorem i chciałabym móc nadal na nie patrzeć.

- Będziesz więc musiała ofiarować mi coś w zamian - po wiedział, zatapiając twarz w jej szyi.

- Dam ci w zamian to, co chciałam ci dać od dawna - wy szeptała, odsuwając się od niego i patrząc mu z uwielbieniem w oczy. Dostanie więcej, niż się spodziewał... Dowie się, że od zawsze była mu przeznaczona. Tylko jemu. Ten podarunek złoży mu w noc poślubną.

- Nie rozumiem... - zawahał się.

- Nigdy przedtem nie byłam zakochana, Hamish - powie działa wreszcie. - I dokładnie nie wiem, jak to się robi, ale chciałabym spróbować objąć tę posadę, którą mi zaoferowałeś - Roześmiała się ze szczęścia. - Odkryłam właśnie, że brał kwalifikacji nie ma tu znaczenia!

Roześmiał się także, przytulił ją i mocniej objął ramionami

- Och, droga pani! Bałem się, że ma pani zbyt wysokie kwalifikacje. - I szepnął do jej ucha: - Wesołych Świąt!

- Mam na imię Brenda Jane - odpowiedziała. - Wesołych Świąt, mój kochany! Boże Narodzenie jest zawsze takie cu-downe!